

„Dobry wieczór Monsieur Chopin”.

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto kolejny fragment książki - o powstaniu widowiska teatralno-muzycznego „Dobry wieczór Monsieur Chopin”.



Żelazowa Wola

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Na tle obrazów Mazowsza oraz parku i dworku w Żelazowej Woli, z dochodzącą z dala muzyką Chopina, słysząc głos.

Kustosz:

Chcę bajkę opowiedzieć

Ze wszystkich najprawdziwszą,

O pewnym chłopcu i przyjacielu jego

Zaczarowanym fortepianie.

(...)

Obraz się zmienia, jesteśmy we wnętrzu dworku w Żelazowej Woli. Ten sam głos podejmuje dialog z duchem Chopina.

Kustosz:

Dobry wieczór, monsieur Chopin.

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Głosy cichną, nowoczesna, energiczna, młoda kobieta zapala lampę.

- Witam państwa bardzo serdecznie w Żelazowej Woli - mówi - i zapraszam na wędrówkę śladami wielkiego kompozytora.

Zaczyna oprowadzać po miejscach Chopina, jego życiu i pozostałych po nim śladach. Tak zaczyna się widowisko teatralne poświęcone życiu i twórczości naszego wielkiego kompozytora.



Wnętrze dworku w Żelazowej Woli.

W 2010 roku, w dwusetną rocznicę urodzin Chopina muzyka wielkiego Fryderyka rozbrzmiewała na całym świecie. Salon również chciał się włączyć w obchody, wprowadzając do swojego repertuaru spektakl przybliżający postać kompozytora. Cały 2009 rok trwały przygotowania, sztuka kanadyjskiej autorki miała być adaptowana przez krakowskiego reżysera. Skupiała się na konfliktach i napięciach pomiędzy Chopinem, George Sand i jej dziećmi w Nohant. Jednak adaptacja poszła tak daleko, że autor nie zaakceptował zmian. Kończył się rok 2009, Maria była

przerażona, bo sztuka powinna być już gotowa, a tu jeszcze potrzeba czasu na uczenie się roli, na dobieranie kostiumów, przygotowywanie dekoracji, opracowanie muzyki. Nie chcąc jednak nikogo dotknąć, musiała zrezygnować z tekstu. Co teraz robić? – pytała sama siebie przerażona.

Byłam wówczas w Toronto. Pamiętam, że siedziałam w mieszkaniu przy ulicy Oakmount w High Parku, zapadłam się w głęboki fotel i pijąc kawę, słuchałam pełnej rozterek Marii. Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant i pisałam codzienne relacje do „Rzeczpospolitej”. Zagłębiłam się wtedy w losy Chopina, „zaprzyjaźniłam się” z George Sand i jej artystycznym otoczeniem.

Pamiętam dobrze mój pierwszy przyjazd do Nohant. Było wtedy ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie.

Posiadłość George Sand położona była w małej średniowiecznej osadzie. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV, otoczony dzikim parkiem, był zaniedbany. Mimo że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał charakteru muzeum. Przypominał dom w nieładzie, który po jakiejś burzy w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dom mimo wszystko zatrzymał ciepłą

atmosferę azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.



Fryderyk Chopin, L.A. Bisson,
1849 r.

Koncerty w ramach Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego pod artystyczną dyрекcją profesora Adama Wibrowskiego odbywały się nie tylko w Nohant, lecz także w pobliskim La Châtre. Spotkałam wtedy mnóstwo ciekawych ludzi, laureatów konkursów chopinowskich, profesorów akademii muzycznych z całego świata. Poznałam też francuską pisarkę Sylvie Delaigue-Moins, od lat zgłębiającą losy Chopina i George

Sand oraz jej męża, malarza Claude'a Moinsa. Gościłam w ich dużym, przeszklonym, wielopoziomowym domu na wyspie, z widokiem na wodę i las. Sylvie właśnie wydała książkę – „Chopin u Geroge Sand. Kronika siedmiu lat”. Claude natomiast zrekonstruował słynny obraz Eugène'a Delacroix, przedstawiający romantyczną parę. Chopin siedzi przy fortepianie, a nad nim pochyla się George Sand z kwiatem we włosach. Rekonstrukcja była dla malarza iście detektywistyczną przygodą. Nie wiadomo było, jak dokładnie wyglądał oryginał, gdyż po śmierci Delacroix, przecięto go na pół i odrzucono górne tło. Sprzedając osobno Chopina i George Sand, można było uzyskać wyższą cenę. Obydwie części obrazu przeszły różne koleje losu, ostatecznie Chopin trafił do zbiorów muzeum w Luwrze, a George Sand do Ordrupgaard Museum w Kopenhadze. Malarz Claude Moins odtworzył oryginał, badając drogę, jaką przeszły obydwie części obrazu. Jego największym odkryciem było ustalenie proporcji i układu dzieła, jako pionowego. Do tej pory historycy sztuki uważali, że obraz był poziomy, i takie reprodukcje pojawiały się w albumach.

Gdy opowiadałam o moich przygodach z Chopinem i George Sand, Marii nagle pojaśniała twarz.

– Przecież razem możemy napisać scenariusz przedstawienia! – zawołała z radością.

Wzięłyśmy się więc ostro do pracy. Ja zbierałam materiały biograficzne i wiersze o Chopinie, Maria analizowała teksty, czytała książki i szukała koncepcji wyrazu teatralnego. Spektakl miał być przedstawieniem „eksportowym”, ograniczało to obsadę aktorską do dwóch ról żeńskich, osoby starszej i młodszej. Z konieczności musiało to być widowisko o Chopinie bez postaci Fryderyka. Najlepiej, aby było współczesne, wtedy można mieć większą swobodę w konstruowaniu scenografii i kostiumów.

Inspiracją do stworzenia postaci stała się moja przygoda z Nohant. Młoda dziennikarka z Polski, zafascynowana Chopinem jedzie do Francji i tam spotyka starszą od siebie, doświadczoną francuską pisarkę zajmującą się losami romantycznej pary. Z rozmowy dwóch kobiet wyłania się postać Chopina z punktu widzenia zarówno Polki, jak i Francuzki. To miała być oś spektaklu. Do tego poezja chopinowska, dużo muzyki zaaranżowanej przez Jerzego Boskiego i obraz, jakże ważny w przedstawieniu – przenikające się slajdy, na których widać Żelazową Wolę, portrety rodziców małego Frycka, obrazy Mazowsza, nuty, rękopisy listów, a potem Nohant, słynny obraz Delacroix itd. W miarę pracy nad tekstem postać dziennikarki została zamieniona na fikcyjną panią kustosz muzeum w Żelazowej Woli. Dawało to możliwość stworzenia sceny „oprowadzania gości” i opowiedzenia historii dzieciństwa oraz młodości późniejszego kompozytora.



Maria w kreowaniu obrazu i budowaniu napięcia teatralnego jest nieoceniona. Układ scen i rozpisanie na role przychodzi z czasem, w wyniku długiego poszukiwania właściwej drogi.

W spektaklu Maria wciela się w rolę autentycznej postaci Sylvie Delaique-Moins. Wymienione są tytuły jej książek i pokazane okładki na slajdach. Kiedyś w ferworze przygotowań do prapremiery Maria zadzwoniła do mnie i zapytała:

- Powiedz mi szybko, jak ja się nazywam?

Zaniemówiłam. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że chodzi o francuską pisarkę.

W tekście obok Nohant pojawia się pobliskie La Châtre, jest też scena opisująca poszukiwania Claude'a Moinsa i historia związana z rekonstrukcją obrazu Delacroix, zaczerpnięte z mojej chopinowskiej przygody.

W przedstawieniu równie ważną rolę odgrywają słowo, muzyka, jak i obraz. Powstało widowisko działające na emocje widza i przekazujące bardzo duży zasób informacji biograficznych na tle epoki. Wrażenie wywołuje dynamiczny wiersz Or-Ota (Artura Oppmana), pokazujący nastroje podczas powstania listopadowego, który mówią na zmianę obydwie kobiety – przewodniczki po życiu Chopina. Jest też lirycznie i romantycznie, są emocjonalne burze, które przytaczają na scenie Polka i Francuzka czytając dziewiętnastowieczne listy oraz ponadczasowa chopinowska muzyka. I mimo że na scenie są dwie współczesne kobiety, a Chopin pojawia się tylko jako głos z oddali, przybliżone zostają zarówno losy kompozytora, jak i jego osobowość.

Pisarka:

Chopin wszedł. W lamp półcieniu dziwny jak zjawisko,

Nad rebusem klawiszów pochylił się nisko...

W niemą salę padł pierwszy dźwięk. Improwizuje.

On oczy ma zamknięte. Lecz nie gra. Maluje.

Przypomniął jakiś obraz: wieś w gruszkowych sadach,

Bose dzieci na progach, malwy na lewadach,

Roześmianą dziewczynę w kalinowym wianku,

Rozedrgany graniem dzwonek w różowym poranku;

Barwy mu dnia i zmierzchu wiążą się pod ręką –

I widok, jakby wstążką, owinął piosenką.

Dziwna piosenka, wszystkim słuchaczom przyjemna,

(...)

A on odjął na chwilę palce od klawiszy:

Skupia się. Na coś czeka. Czegoś słucha w ciszy,

I nagle: podniósł ręce, jakby cios wymierzył,

I w zmartwiałe klawisze, jak burzą, uderzył,

I wydał z nich melodię tak straszliwej mocy,

Jak baterie piorunów bijących wśród nocy,

I taka stał pod ręką zadźwiękła mu twarda,

Aż się wzdrygnął i zachnął fortepian Erarda.

Spektakl kończy się powrotem do Żelazowej Woli, powraca głos Chopina, odbijający się echem od ścian dworku, powtarza się melodia wiersza Gałczyńskiego.

Pisarka:

Dobry wieczór, monsieur Chopin,

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Pisarka:

Pan odchodzi? Hm. To żal.

Matko Boska, w taką dal!

Rękawiczki. Merci bien.

Pisarka i Kustosz:

Bon soir, monsieur Chopin.

Na finał brzmi Polonez As-dur op. 53.



Dobry wieczór, Monsieur Chopin, scenariusz: Maria Nowotarska, Joanna Sokołowska-Gwizdka, reżyseria: Maria Nowotarska, wykonawcy: Maria Nowotarska i Agata Pilitowska oraz Piotr Pilitowski (głos Chopina), opracowanie muzyczne Jerzy Boski, scenografia Jerzy i Michał Monka, zdjęcia Adam Orzechowski, montaż dźwięku i obrazu Leonard Gaweł „Nomados”, tłumaczenie portugalskie prof. Mariano Kawka z Uniwersytetu w Kurytybie, tłumaczenie angielskie Witold Liliental, tłumaczenie francuskie Alina Nitka (Paryż), prapremiera sierpień 2010, São Paulo, Brazylia, premiera torontońska 17.02.2010, Living Arts Centre, Mississauga.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 28 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.

Książka Joanny Sokołowskiej-Gwizdka łącząc elementy żywej narracji z naukowym warsztatem stanowi niezwykle świadectwo polonijnej działalności artystycznej, a jednocześnie jest wyrazem głębokiego uznania dla inicjatorki Salonu Poezji, Muzyki i Teatru w Toronto – Marii Nowotarskiej.

prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniowska

„Teatr spełnionych nadziei. Kartki z dziejów emigracyjnej sceny” jest opowieścią o teatrze założonym w Toronto na początku lat 90. przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Marię Nowotarską i o ludziach, którzy ten teatr tworzyli. Maria Nowotarska, mająca w swojej karierze zawodowej kontakt z najwybitniejszymi reżyserami i scenografami w historii teatru polskiego, przeszczepiła na grunt emigracyjny koncepcje wpisujące się w polską tradycję teatralną, wykorzystując przy tym możliwości, jakie dała nowa ojczyzna. Dzięki jej determinacji aktorzy, śpiewacy czy muzycy, którzy w Toronto podejmowali inne zawody, w torontońskim teatrze znaleźli swoje spełnienie i swoją ojczyznę. Teatr był też darem dla wielotysięcznej emigracji kanadyjskiej, głównie posolidarnościowej, która tęskniła za krajem i jego kulturą.

Książka ta obejmuje lata 1991-2012 i jest podróżą w czasie przez torontońską scenę, utrwalającą unikalną, niepowtarzalną i ulotną materię teatru. Wielu osób związanych z torontońską sceną już nie ma, wielu poszło swoją życiową drogą. Jest to więc zapis historyczny, rejestrujący emocje i potrzeby właściwe dla pewnego czasu.



JOANNA
SOKOŁOWSKA-GWIZDKA

TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI



TEATR SPEŁNIONYCH NADZIEI.

KARTKI Z ŻYCIA
EMIGRACYJNEJ SCENY

JOANNA
SOKOŁOWSKA-GWIZDKA

NOVAE RES

Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-speelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://akksiazka.pl/produkt-302969,teatr-speelnionych-nadziei>

Baśniowy Gałczyński

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto fragment książki.



„Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny”. Od lewej:
Maria Nowotarska, Stan Borys, Karolina Ingleton, Krzysztof
Jasiński, Agata Pilitowska, arch. PUNKT.CA, fot.: Yarek
Dąbrowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

26.10.98.

Mario Droga,

A więc klamka zapadła: mam wizę i bilet od Ciebie i będę 6

grudnia. Wylatuję z Warszawy o 12.30. Gdzieś przed 20.00 polskiego czasu będę w Twoim mieście. Nie wiem, jak sobie wyobrażasz cały ten poetycki spektakl. Żeby Ci trochę pomóc, przesyłam Ci swoją pierwszą książkę o ojcu – jest krótsza, nie zabierze Ci nazbyt wiele czasu, natomiast jest w niej pełno faktów i zdarzeń. Może przyda Ci się. Zdobyłam ją dzięki zaprzyjaźnionemu księgarzowi, który gdzieś jej resztki wykopał. (...) Byłam wczoraj i przedwczoraj w Krakowie – słońce, ciepło, pięknie, myślałam o Tobie. (...)

Uściski – Kira

(...)

Spektakl Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny oczarował widownię. W baśniowej scenerii, na pograniczu snu i jawy, płaczą się zwiewne postacie, tańczą, wirują wraz ze światłem i półcieniami, snują opowieści, potęgując strofy mówione szeptem niczym modlitwa, wyłaniają się z tła, by wołać gromko i wyraźnie, niosą śpiew przez szum mazurskich trzciny, przez krakowską ulicę z tętentem koni, przez blask warszawskich latarni, zgubione marzenia i „księżyc, który się nie goli”. Przeplatają się różne nuty, grają światła i cisza, okno patrzy na świat zdziwionymi oczami, okrągły stolik zasnuty

ciężką, ciepłą serwetą migocze w blasku świec. A na połyskliwej, rozwieszanej nieregularnie tkaninie różnymi kolorami świateł malowane są kolejne obrazy czasu, poezji i wyobraźni.

Kira Gałczyńska i Maria Nowotarska chodziły razem do szkoły podstawowej przy ulicy Pędzichów w Krakowie. Szkoła o nazwie „Instytut Marii” prowadzona była przez zakonnice. Mieściła się w starym przedwojennym budynku, zajmowanym podczas wojny przez Niemców.

Maria Nowotarska:

Pamiętam, jak przyszła do naszej klasy ładna, czarna dziewczynka z dużym poczuciem humoru, trochę taki łobuziak. Bardzo się polubiłyśmy. Czasem odprowadzałam ją na Basztową, gdzie wtedy mieszkała. Nie pamiętam jej ojca, ale bardzo dobrze zapamiętałam ją.

Kira Gałczyńska:

Marię poznałam w pierwszych powojennych latach. Z tamtego Krakowa właściwie niewiele już pamiętam, ale pamiętam Marysię, z którą najpierw spotykałam się w szkole, a potem oglądałam ją w Teatrze Starym, kiedy już jako dziecko partnerowała znanym aktorom. Mówiłam wtedy mojemu ojcu, że ja też koniecznie chcę wystąpić w teatrze. Ale ojciec mi wtedy

odpowiadał: do tego trzeba jeszcze coś mieć, coś, co się nazywa iskrą bożą. Tak więc Marię zapamiętałam jako śliczną dziewczyneczkę, która była małą aktorką jeszcze w szkole podstawowej. Potem ją zobaczyłam jako równie śliczną, ale trochę starszą dziewczynę po studiach. W ciągu następnych lat wiedziałam o niej, oglądałam ją w filmach, w telewizji, ale nie miałyśmy z sobą kontaktu.

Maria Nowotarska:

Po latach, będąc już w Kanadzie, wypożyczałam książkę autorstwa Kiry Gałczyńskiej, w której ze zdziwieniem przeczytałam: „zazdrościłam mojej koleżance z klasy Marysi Nowotarskiej, że grała w teatrze”. Niewiele myśląc, zdobyłam jej telefon i zadzwoniłam. Bardzo się ucieszyła.

Kira Gałczyńska:

Kiedy spotkałyśmy się w Polsce, to tak jakoś wróciłyśmy do siebie, jakby tych lat nie było. Okazuje się, że jeśli jest bliskość między ludźmi, to niekoniecznie musi być potwierdzana przez ciągle spotkania. Ona nagle daje o sobie znać po latach, jako coś trwałego, bo jest gdzieś w nas zakodowana.

Maria Nowotarska:

Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Spotykałyśmy się, ilekroć byłam w Warszawie. Kira zawsze przychodziła na moje przedstawienia. A potem, gdy przygotowywałam spektakl o Gałczyńskim, zaprosiłam ją do udziału.

- Chciałabym, żebyś w tym wieczorze miała dwa wejścia prywatnej opowieści o ojcu, tak zupełnie od serca - powiedziałam.

Kira Gałczyńska:

Gdy Maria wymyśliła, że chciałyby w swoim Salonie zrobić Gałczyńskiego ze mną, przestraszyłam się. Przecież nigdy w taki sposób nie brałam udziału w spektaklu, nie potrafię tego zrobić. Ale ona mnie namówiła, tak jak to Maria potrafi.

- Przyjedź, zobaczymy, co z tego wyniknie - powiedziała.

Zorganizowała cały mój przyjazd i właściwie dopiero na miejscu zorientowałam się, jak dużą i niezwykłą pracę Maria tam wykonuje.

Maria Nowotarska:

Kira Gałczyńska bardzo była ciekawa przedstawienia, ale ja jej powiedziałam:

- Zaproszę cię na scenę dopiero podczas spektaklu. Chciałam, żeby Kira usiadła na widowni, w pierwszym rzędzie, żyła tym spektaklem tak jak inni i chciała się dowiedzieć, co będzie dalej. Nie chciałam, żeby jej występ był wyreżyserowany. Jej opowieść miała być jak najbardziej naturalna, od serca, jak rozmowa.

Kira Gałczyńska:

Spektakl ten powstawał spontanicznie, tak właściwie z niczego. Najpierw była korespondencja Marii, ona wybierała wiersze, potem piosenki, korespondowała ze swoimi znajomymi kompozytorami, przede wszystkim w Krakowie, a potem, kiedy ja przyjechałam, to właściwie wszystko już było gotowe. Została wyczarowana piękna scenografia i niezwykła muzyka. Dla mnie spektakl był niespodzianką.



Kira Gałczyńska (z lewej) i Maria Nowotarska po spektaklu.

(...)

Dziś i wczoraj przeplata się nawzajem. Są więc i wspomnienia z dzieciństwa, do których prowadzą warszawskie latarnie (*Pożegnanie z latarniami*). Gdy ze sceny padają słowa „żegnajcie kochane latarnie”, pojawia się po raz pierwszy Kira Gałczyńska i opowiada, że te latarnie prowadziły do domu na Towarowej w

Warszawie, domu smutnego, gdzie dwoje dorosłych ludzi nie umiało stworzyć ciepła dwóm małym chłopcom – Kostkowi i Mietkowi. Starszy, Kostek, próbował zastąpić i matkę, i ojca swojemu młodszemu bratu. Potem jest opowieść o szpilkach do włosów matki Konstantego, które, jak napisał poeta, znalazł w trzcinach, a tak naprawdę przejechały w jego książeczce do nabożeństwa cały świat. Jest to poetycka opowieść o miłości do matki i o dojrzewaniu do umiejętności wyrażenia tej miłości.

Bajkowość spektaklu nie byłaby do końca „gałczyńska” gdyby nie pojawił się tam Kraków, kataryniarz, zaczarowana dorożka i spacer po krakowskich uliczkach, gdyby nie było zapachu świąt Bożego Narodzenia (*Przed zapaleniem choinki* – Maria Nowotarska) i tych wszystkich cudów i dziwów zaczarowanego Krakowa. „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz i zaczarowany koń” – po raz drugi wprowadzają na scenę Kirę Gałczyńską, która pięknie mówi o ojcu i krakowskim domu przy Krupniczej, domu „Pod czterdziestoma wieszczami”. Wspomina pusty pokój, który dość szybko wypełniał się nietuzinkowymi przedmiotami ze spalonego domu w Aninie (na przykład prawosławna ikona z domu rodzinnego Natalii Gałczyńskiej, którą przywiózł Jerzy Zaruba, sąsiad i przyjaciel). Ściany pokoju obrastały we wpisy, rysunki, obrazki malowane przez przyjaciół, znanych artystów. Zresztą każdy mógł zostawić swój wpis na ścianie, pod warunkiem, że miał coś ważnego do powiedzenia.

Kira Gałczyńska:

Gałczyński okazał się pod każdym względem czarownym spektaklem, ze swoją atmosferą i niepowtarzalnym urokiem.

Maria dobrze wie, że inaczej mówi się poezję Słowackiego, a inaczej trzeba mówić Gałczyńskiego. Świetnie potrafi połączyć lirykę z groteską, tak że w efekcie spektakl miał zarówno nastrój, taki bardzo „gałczyński”, jak i był autentycznie zabawny. Maria poza tym umie wyegzekwować od aktorów to, co sobie wymyśliła. Tak więc i zespół mieścił się znakomicie zarówno w zabawie, jak i w warstwie lirycznej.

Przedstawienie miało dużo bardzo wzruszających momentów. „Księżycowa noc” i ta idealna cisza na widowni. Gdyby tam latały muchy, byłoby je słychać. Zarówno liryką, jak i absurdalnym Gałczyńskim Maria doskonale trafiła w oczekiwania publiczności, w jej percepcję, w jej zaangażowanie. Widzowie siedzieli zasłuchani, panowała kompletna cisza. A po spektaklu ciągnęły się rozmowy, którym nie było końca. Ludzie przychodzili, pytali, dlaczego spektakl jest grany tylko ten raz. Mnie też pytano, już konkretnie o Gałczyńskiego, o sytuacje, w jakich powstały rozmaite wiersze. To była bardzo sympatyczna rozmowa, jakbyśmy się od dawna znali. Jestem przekonana, że chociaż wróciłam do Warszawy, to gdzieś tam ten Gałczyński został wśród ludzi.

(...)

Notatka Jerzego Pilitowskiego pod datą 2 stycznia 1999:

(...) Dwunasty (grudnia) premiera w Bishop Marrocco. Poszło pięknie. Ujawniły się walory inscenizacji, scenografii, dobrego wykonania aktorskiego (także Tomeczka), niestety widzów niewielu, może 200-250. Występ Kiry bardzo udany, a i ona nadzwyczaj szczęśliwa. Nazajutrz powtórka w Centrum Jana Pawła II – tym razem widzów znacznie więcej, chyba ponad 500. Sukces niewątpliwy, choć przeżywamy duży stres – obawę przed klęską finansową. Robota ogromna – oboje z Marysią gonimy resztkami sił. Po dokładnym obliczeniu okazuje się jednak, że nie jest tak źle i w zasadzie pokryjemy wszystkie zaplanowane wydatki, hurrra! Dobre recenzje Bonikowskiego w „Gazecie” i Kasprzyka w „Związkowcu”. 14-go Marysia jedzie z Kirą pociągiem do Montrealu, do Basi Horny. Szesnastego odprawiamy Kirę na lotnisko. Cała szczęśliwa – nikt nigdy nie zrobił takiego Gałczyńskiego.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 21 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code,

który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei>

„Teatr spełnionych nadziei” – opowieść

o polskim teatrze w Toronto.



Panorama Toronto od strony jeziora Ontario, fot.: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską. Oto fragment wstępu - jak powstawała książka.

Gdy wylądowałam w Toronto na lotnisku Pearson po wielogodzinnej podróży, w moje imieniny, 24 maja 2001 roku, z niepewnością myślałam, co mnie tu czeka. Zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Jaki, to się dopiero miało okazać. Na razie były tylko labirynty korytarzy, ruchome schody, windy i wielkie szyby, w których widziałam swoje odbicie. (...) Lądując na lotnisku Pearson, wiedziałam, że mój świat, jedyny w swoim rodzaju, który sobie urządzałam wiele lat, zostawiam za sobą bezpowrotnie. Nie, nie żałowałam, ale liczyłam się z tym, że w Kanadzie, w mało uniwersalnym zawodzie nie znajdę pracy. Dokonałam jednak wyboru między moim polskim życiem, z kochającą rodziną, na którą zawsze mogłam liczyć, przyjaciółmi, znajomymi miejscami, a emigracyjnym, nieznanym, zaoceanicznym światem Jacka. Zdawałam sobie sprawę, że kończy się jakiś etap, a ja zamykam za sobą drzwi na zawsze.

Spotkanie z teatrem

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Małgorzata Bonikowska, redaktor do spraw kultury w torontońskiej „Gazecie”, wysłała mnie na spektakl Marii Nowotarskiej o Marianie Hemarze, z prośbą, żebym napisała recenzję. Szłam z mieszanymi uczuciami, wydawało mi się, że na emigracji nie ma warunków, aby mógł powstać zawodowy teatr, i że zapewne wysłucham paru piosenek, wierszy i na tym się skończy. Do tego Paweł Deląg zaproszony na spektakl, jako gwiazda wieczoru, w ostatniej chwili odwołał przyjazd do Toronto. Przedstawienie jednak bardzo mnie zaskoczyło. To był w pełni udratyzowany spektakl teatralny, z akcją, kostiumami, dekoracją, w przeznaczonych do tego sali teatralnej Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze. Występujący artyści byli profesjonalistami, do tego dobrze przygotowanymi i wyreżyserowanymi. Dowiedziałam się też dużo o Hemarze, o różnych etapach jego życia, marzeniach i rozczarowaniach. Mimo że znałam jego teksty, podczas tego spektaklu po raz pierwszy zobaczyłam Hemara jako żywego człowieka, a nie odeszłą w przeszłość legendę. Postać została uplastyczniona poprzez odpowiednio zbudowany scenariusz i czar sceny, któremu poddali się wszyscy uczestnicy. Zauważyłam wśród publiczności śmiech, radość i łzy wzruszenia. Zapewne razem z Hemarem zostały wyciągnięte z zakamarków emigracyjnej duszy własne wspomnienia o białych bzach pachnących w maju, kiedy szło się za rękę z ukochanym, czy inne momenty sentymentów młodości. Poczułam wtedy, że twórcy tego teatru

podchodzą do pracy z wielkim szacunkiem dla widza i swoją bezinteresowną, ciężką pracę dają nam, dorosłym Polakom na emigracji i młodemu pokoleniu, które urodziło się w Kanadzie. Budują pomost dla naszej tożsamości, pomiędzy ojczyzną a krajem, który adoptowaliśmy. Po spektaklu za kulisami pojawił się profesor Florian Śmieja, iberysta i poeta mieszkający kiedyś w Londynie, który chodził na „hemarowe” spektakle. Ten wieczór przywołał też i jego wspomnienia. Byłam pod wrażeniem połączenia historii, legendy i rzeczywistości. Otwierał się przede mną sezam ze skarbami kultury, pasją tworzenia i misją do spełnienia. Zapragnęłam o tym wszystkim pisać. To był nowy obszar, w który wchodziłam. Uwierzyłam, że i tu, w Kanadzie, mogę znaleźć swoją wyspę i nie muszę żegnać się z zawodem.

Propozycja



Maria Nowotarska i Jerzy

Pilitowski na balkonie
swojego apartamentu, fot.:
Joanna Sokołowska-
Gwizdka.

Dom Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego okazał się bardzo przyjazny. Wielki, miękki fotel, w którym można było się zapaść bez reszty i zapomnieć o całym nieartystycznym świecie, zapach pysznego placka ze śliwkami – specjalność Jerzego Pilitowskiego – żarty, śmiechy, rozmowy przez telefon, drobne chwile, których się nie zapomina, pozornie ulotne zdania, będące życiową nauką. W tej rodzinnej atmosferze powstawały pomysły sceniczne, starałam się je uchwycić w momencie tworzenia i obserwować ich rozwój. Lubiłam wielogodzinne rozmowy i ten specyficzny nowotarsko-pilitowski klimat. A potem, jadąc metrem ze stacji High Park do stacji Lawrence, z przesiadką na Yonge i Bloor, obmyślałam zapowiedzi teatralne do „Gazety”. Żyłam każdym kolejnym spektaklem, uczestniczyłam w jego powstawaniu. I tak minęły trzy lata, od kiedy znalazłam się w Toronto. W okresie świąt Bożego Narodzenia 2004 roku zostaliśmy z Jackiem zaproszeni przez Marię i Jerzego na kolację. Biesiadowaliśmy przy dużym stole nakrytym ciężką, bordowo-złotą, ozdobną tkaniną z frędzlami, Jerzy Pilitowski otworzył *icewine*. W tej „christmasowej” i domowej atmosferze z radością

przyjęłam propozycję napisania książki o Salonie Poezji, Muzyki i Teatru – tym kulturalnym emigracyjnym fenomenie.

Jak powstawała książka

Głowę miałam pełną pomysłów. Książka o scenie, spektaklach, twórcach, ciężkiej pracy w trudnych warunkach i wielkiej pasji... Materiał ogromny, wiele osób przewinęło się przez scenę. Zaczęłam się umawiać na rozmowy. Najczęściej w apartamencie Marii i Jerzego z balkonem pełnym kwiatów i ziół, a po ich przeprowadzce na jedenaste piętro dodatkowo z widokiem na jezioro Ontario i torontońskie Downtown. Siadałam na kanapie pod portretem Marii w wielkim kapeluszu autorstwa Ilony Biernot i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, pytałam, słuchałam, nagrywałam. Gdy było ciepło, Maria Nowotarska wyciągała mnie na spacer do High Parku nad jeziorem Ontario. Tam na ławeczce w cieniu drzew, przy fontannie, zawsze elegancka artystka w powiewnej letniej sukience opowiadała mi o sobie i swoich pomysłach. Mówiła pięknie, literackim językiem i z dużym zapalem. Malowała wizje sceny stworzonej z teatralnej wyobraźni przywiezionej z krakowskiego teatru, z tradycji literackiej i dawnej dobrej aktorskiej szkoły. Podczas rozmów otwierała się przeszłość w masce scenicznych wspomnień. Nagrywałam też Jerzego Pilitowskiego, oglądałam fotografie, a raz nawet udało mi się namówić go na zaśpiewanie słowackiej piosenki góralskiej, po słowacku, oczywiście. Mówił, że nosi się

z zamiarem spisania piosenek z czasów górskich wędrówek, póki je pamięta.

Obserwowałam, jak powstaje teatr od kuchni. Próby do Powstania Warszawskiego odbywały się w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Dundas Street. Partie za brakujące osoby czytała Maria Nowotarska. Podobno to normalne, nigdy nie ma kompletu artystów, pojawiają się dopiero na premierze. Trudno jest pracować, markując luki w obsadzie. Zapamiętałam ogólne zdyscyplinowanie i panujący na próbie rygor, któremu wszyscy bez wahania się poddawali. Byłam też na próbie w domu skrzypaczki Joanny Zeman, w Niagara-on-the-Lake, wiktoriańskim miasteczku z kolorowymi kamienicami, kawiarniami, galeriami, ogrodami, z letnim stukotem końskich kopyt, jeżdżącymi po ulicach białymi powozami i słynnym festiwalem Bernarda Shaw. Dom był duży, stylowo urządzony, w zacisznej alei z widokiem na strumień. Mieścił się w nim Bed and Breakfast Chateau Gate. Joanna Zeman z dumą pokazywała smyczek należący do Henryka Wieniawskiego, a w jednym z pokoi na dole – podpisy znanych osób na ścianie. Na próbę przyjechał Kazimierz Braun z Buffalo. Ja przyjechałam samochodem z Marią i Agatą z Toronto. Po drodze zatrzymałyśmy się w niemieckiej piekarni piekącej pachnący chleb z chrupiącą skórką, który budził wspomnienia z dzieciństwa. Podobno to rytuał – Maria z Agatą zawsze tu wchodzi, jeśli jadą w kierunku Buffalo. Po wypiciu kawy

ruszyliśmy dalej. W samochodzie cały czas rozmawialiśmy o sztuce „Promieniowanie”, o Marii Skłodowskiej-Curie.



„Promieniowanie. Rzec o Marii Skłodowskiej-Curie” – próba w domu Joanny Zeman w Niagara-on-the-Lake. Od lewej: Agata Pilitowska, Kazimierz Braun, Maria Nowotarska, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Próba z reżyserem to intensywna praca. Agata nie lubi prób i się z tym nie kryje. Potrzebuje widowni, wtedy potrafi dać z siebie

wszystko. Próba dla niej to imitacja, spektakl przecież nie dzieje się naprawdę. Ale na próbie sztuki o Marii Skłodowskiej-Curie zdawała się utożsamiać z córką słynnej matki. Słysząc było w jej głosie autentyczną walkę o własne ja. Podczas spektaklu Agata złagodniała, była bardziej oszczędna w emocjach, a przez to bardziej wyrazista. Maria uważa próby za bardzo ważny element w procesie przygotowań. Jest uporządkowana, dla niej wielokrotne powtarzanie i praca nad tekstem są kuźnią dobrego rzemiosła teatralnego. Bo teatr to też technika, a nie tylko emocje.

Byłam nie tylko blisko sceny, ale przede wszystkim blisko jej twórców. Umawiałam się też z innymi artystami, prowadziłam długie rozmowy, pytałam o różne szczegóły. Spostrzegłam, jak bardzo ten emigracyjny teatr jest potrzebny. Przyjechało tu przecież wielu wspaniałych śpiewaków, aktorów, artystów plastyków. Zostali bez swoich teatrów, bez swojego miejsca. Często wykonują inne zawody, żeby żyć, musieli się przekwalifikować. Dzięki Salonowi realizują się, nie odchodzą od tego, co ich tworzy i wypełnia – od sztuki. A Maria Nowotarska potrafi zarazić energią i pokazać, że musi się udać, nie ma innej możliwości.

Wiosną 2005 roku podjęliśmy z Jackiem decyzję wyjazdu z Toronto. Jacek dostał propozycję pracy na Rutgers University w stanie New Jersey w USA. Otwierały się przed nim nowe

możliwości zawodowe, miał pracować ze znanymi osobami w jego dziedzinie – Human Computer Interaction. W wakacje zapakowaliśmy cały swój dobytek do samochodu ciężarowego i ruszyliśmy przez Buffalo i stan Nowy Jork, a potem góry Pensylwanii do New Jersey. Nowe życie, a w praktyce nowa emigracja, pochłonęło bardzo dużo naszej energii. Zamieszkaliśmy na pięknym osiedlu z basenem, na skraju lasu, z podchodzącymi pod okna sarnami, zającami, które godzinami mogłam obserwować, szarymi wiewiórkami i mnóstwem ptaków. Z jednej strony kontakt z naturą wzbudzał mój zachwyt, ale z drugiej, po tempie dużych miast, w których zawsze mieszkaliśmy, trudno mi było się przestawić na inne życie. Wprawdzie centrum Manhattanu oddalone było od nas tylko o jakąś godzinę drogi, ale dojazd do stacji kolejki bez możliwości zrobienia prawa jazdy okazał się przeszkodą nie do pokonania. Wypadłam przy tym z rytmu pisania książki. Brakowało mi ludzi, inspiracji, czułam się odizolowana. Pomagała mi świadomość bliskości życzliwej mi pisarki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Oleńki od Wańkowicza), mieszkającej razem z mężem Normanem w Wilmington w stanie Delaware. Zawsze mogłam się do niej zwrócić z prośbą o radę czy przyjrzeć się warsztatowi pisarskiemu.

W stałą pomoc włączyła się moja nieoceniona mama. Spisywała wywiady, co jest zwykle bardzo czasochłonne. Była moim barometrem emocji. Gdy czytałam jej jakiś fragment, a ten ją

wzruszał czy zaciekawiał, zostawiałam. Gdy natomiast słuchała z grzeczności, mówiąc potem „no ładnie” czy „interesujące”, wiedziałam, że muszę jeszcze popracować, wzbogacić o pewne szczegóły czy rozpisać na głosy. Mama wstawała o szóstej rano, wtedy było cicho i mogła się skupić. Mój srebrnobiały, skośnooki kot Maciek, którego zostawiłam rodzicom, tak się przyzwyczaił do mojego głosu dochodzącego z głośnika, że gdy minęła szósta, a moja mama nie wstawała, przychodził pod sypialnię rodziców i ją budził. A potem układał się na biurku, wsłuchując się w opowieści oraz stukot klawiszy.

Cały czas wspierał mnie Jacek. Jest osobą piszącą, więc doskonale rozumie proces tworzenia książki i opanowywania ogromnego obszaru informacji. Często z nim na ten temat dyskutowałam. Stwarzał mi warunki do pisania, rozumiejąc potrzebę powstania takiego projektu i wkładany w niego ogromny wysiłek, a także błędzenie i niepewność, która towarzyszy takiemu procesowi.



Maria
Nowotarska na
wycieczce w
Princeton, fot.:
Jacek Gwizdka.

Kilka razy przyjechała do nas do Stanów Maria Nowotarska, „na wczasy”, jak to żartobliwie określała. Za pierwszym razem spadł śnieg. Robiliśmy długie spacery po przylegającym do naszego osiedla polu golfowym z kilkoma stawami, uginającymi się od białego puchu choinkami, pagórkami i długimi odcinkami wydeptanych ścieżek. Na śniegu widać było ślady saren, a my, podziwiając otoczenie, zagłębiałyśmy się w rozmowę. Maria, piękna i elegancka, w długim, ciemnym, futrzanym, rozkloszowanym płaszczu, wzbudzała zachwyty ubijających

ścieżki pracowników pola golfowego, którzy na jej widok zatrzymywali swoje pojazdy i nisko się kłaniali. To samo było w Princeton, mieście Alberta Einsteina oraz uniwersytetu dla dzieci bogatych i ustosunkowanych rodziców, gdzie jaguar zaparkowany na ulicy nie jest rzadkością. Ludzie wyraźnie zwracali uwagę na naszą Marię Nowotarską, na jej ubiór, chód i gesty. Po wycieczkach i spacerach siadałyśmy przy kawie i cieście, nie przestając rozmawiać i nagrywać. Wieczorem zaś otaczał nas inny klimat. Kolacja w jadalni z widokiem na posadzoną przez nas na zewnątrz choinkę ubraną w bożonarodzeniowe lampki, a potem herbata przy kominku i wsłuchiwanie się w opowieści z życia sceny, aktorów, teatru, na przykład o tym, jak Maria grała w filmie „Nikodem Dyźma” z Adolfem Dymszą, jak się przeziębila w pociągu na trasie Kraków-Łódź i nie mogła zagrać wszystkich wyznaczonych na planie scen. I wiele, wiele ciekawostek o znanych nam i lubianych ludziach teatru oraz aktorskim życiu. Tyle przy tym było żartów, dowcipu i humoru, tyle w nasz dom wniosła energii i życia, że Jacek, zwany przez Marię Jacentym, zaraz po odwiezieniu jej na lotnisko zapytał, kiedy znów do nas przyjedzie.



Maria Nowotarska i Joanna Sokołowska-Gwizdka na wycieczce do Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Przyjechała jesienią. Wtedy miałyśmy do dyspozycji inną gamę kolorów. Robiliśmy sobie wyprawy na osiemnastowieczną holenderską farmę Van Wickle House nad kanałem przy rzece Raritan, około dwudziestu minut drogi od nas. To bardzo malownicze miejsce. Przy farmie jest piękny ogród z altaną obrosniętą pnącymi różami. Z tyłu weranda z ławeczkami, z widokiem na starą studnię i drewniany pomost prowadzący nad kanał, wśród tataraku, suchych traw, brązowych pałek i dzikiego ptactwa. Siedziałyśmy z Marią Nowotarską na ławce i rozkoszowałyśmy się ciepłem jesiennego słońca. Mówiłyśmy wtedy o Halce, Moniuszce, tradycji i artystach. Potem przechadzałyśmy się kolorową aleją wśród drzew i przydrożnych jesiennych kwiatów, prowadzącą przez groblę, pomiędzy rzeką a kanałem wykopanym przez irlandzkich emigrantów w dziewiętnastym wieku, spotykając po drodze rodziny gęsi, kaczek i żółwi wyciągających głowy ze swoich ciemnych pancerzy, pousadzanych rzędem na zwalonych pniach. Maria przyjechała do nas jeszcze kilka razy z Toronto autobusem, żeby w spokoju przygotować materiał o podróżach Salonu i autoryzować całość.



XVIII_to wieczna farma Van Wickle House nad rzeką Raritan,
miejsce rozmów z Marią Nowotarską.

Oprócz wizyt Marii Nowotarskiej w naszym domu w New Jersey bardzo ważne były moje podróże. Wiele razy jeździłam do Toronto, spotykałam się tam nie tylko z Marią, ale i z Agatą w Mississaudze w jej pięknym domu o artystycznym charakterze oraz z innymi artystami. Byłam też w Polsce. W Krakowie zatrzymałam się w mieszkaniu Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego przy ulicy Senatorskiej. Zaprosili mnie do siebie na

wino i ciasto niezwykle życzliwi sąsiedzi, państwo Daniszewscy, opiekujący się mieszkaniem. Dużo się wtedy dowiedziałam o krakowskim barwnym życiu bohaterów pisanej przeze mnie książki. Wzruszyła mnie koleżanka Marii Nowotarskiej ze szkoły, nieżyjąca już pani Jadwiga Skiba. Z jaką miłością mówiła o domu „Marysi i Jurka”, o niezapomnianej pani Helenie, mamie Marysi, i o wiecznym artystycznym gwarze, który było słyszeć w tym mieszkaniu. Dużo czasu poświęciła mi pani Wanda Zając, sekretarka w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, która oprowadziła mnie po teatralnych zakamarkach.

Scenariusz książki wielokrotnie ulegał przebudowie. Nawet gdy miałam dokładny plan, który starałam się realizować, w trakcie pisania okazywało się, że jednak ostateczna wersja będzie inna. Przeprowadziłam 270 godzin wywiadów, spisanie ich było zaledwie pierwszym etapem pracy. Aby uzyskać jednolity charakter stylistyczny, wypowiedzi osób występujących w książce zostały zmodyfikowane przez moje pióro, przy zachowaniu ich intencji i indywidualności. Na podstawie wielu rozmów stworzyłam własny obraz, przesuwając „kamerę” z planu na plan i oddając głos kolejnym postaciom. Bohaterowie mojej opowieści zgodzili się z taką formą przekazu. Potwierdzeniem, że to dobry kierunek, była aprobata pisarzy, którzy czytali fragmenty tekstu – Kazimierza Brauna, Kiry Gałczyńskiej i Jarosława Abramowa-Newerlego. Dodało mi to skrzydeł.

Ostatni etap pisania książki to telespotkania z Marią Nowotarską. Umawialiśmy się na określoną godzinę i szykowaliśmy się jak na wielkie wyjście. Do tego lampka wina lub koniaku, kawa, ciasteczko i... już możemy rozmawiać. Początek rozmowy to szczegółowy opis, jak wyglądamy i co pijemy. Jacek się uśmiechał, gdy wracał z uczelni i mówił: „byłaś” dzisiaj na spotkaniu z panią Marią?

W 2013 roku nastąpiła kolejna zmiana w naszym życiu. Jacek otrzymał pracę na University of Texas at Austin. Z New Jersey przeprowadziliśmy się, jadąc przez dziewięć stanów na koniec świata – do Teksasu. Mieszkamy na przepięknym osiedlu, wśród pagórków, palm kokosowych i kwitnących kaktusów, w Austin – mieście prężnie się rozwijającym, z nowoczesną architekturą, pełnym młodych ludzi i wszechobecnej muzyki. Tylko znów trzeba było od początku budować swój świat i oswajać nową rzeczywistość.

Książka powstawała dużo dłużej, niż to przewidziałam, w latach 2005-2013, ale wiele się przez ten czas nauczyłam. Pisałam ją głównie w New Jersey, blisko wielkich, tętniących życiem metropolii – Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, w naszym domu pomiędzy Atlantykiem a Appalachami. Była moją przygodą z teatrem i z cudownymi ludźmi. Przywiązałam się do

niej i żał mi się z nią rozstawać. Ale od teraz musi już radzić sobie sama.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei>

„Powrót Norwida”
z okazji Jubileuszu
Kazimierza Brauna.

Kazimierz Braun

Powrót Morwida



reżyseria:

Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak

TEATR NIE TERAZ

Tarnów, Ratusz, 22 i 23 października godz. 18.00

Projekt współfinansowany przez Narodowe Centrum Kultury



AKCENT STUDIO
DESIGN & PRODUCTION



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

„Powrót Norwida” to zaskakująca opowieść o starym umierającym człowieku, odnalezionym w jakimś miejskim zaułku. Wszystko wskazuje, że utracił pamięć, choć z uporem twierdzi, że nazywa się Norwid – Cyprian Kamil Norwid. Ale przecież ten Norwid umarł w przytułku w Paryżu w roku 1883? Ten dziwny człowiek trafia do hospicjum, a policja zajmuje się ustaleniem jego tożsamości...

„Powrót Norwida” to wyprawa w świat prawdziwie romantyczny i polski, gdzie miłość znaczy miłość, a honor wyklucza zdradę. Umieszczony w hospicjum człowiek pamięta wszystko, a siła jego wspomnień jest tak wielka, że zmienia rzeczywistość. To trochę tak, jakby z namalowanego obrazu schodzili do nas żywi ludzie, by potem zabrać nas ze sobą na drugą stronę.

Ten spektakl to również bolesna diagnoza polskiej emigracji, wymuszanej od pokoleń głupotą rządzących czy okupacjami, brakiem wolności, ale także zwykłą biedą. W ten sposób wciąż jesteśmy pozbawiani najwartościowszych ludzi, w tym twórców i artystów. I kiedy w końcu do nas wracają, to najczęściej w trumnach, bywa, że ekshumowani po latach. Ale ci – można powiedzieć – mają i tak szczęście, którego zabrakło Norwidowi, bo on nie ma nawet swego grobu.

„Powrót Norwida” został zrealizowany przez pozainstytucjonalny Teatr Nie Teraz w adaptacji jego dyrektora, Tomasza A. Żaka. TNT to jeden z teatrów nurtu alternatywnego, znany ze swych inscenizacji odwołujących się do tradycji narodowych, patriotycznych oraz do chrześcijańskich korzeni Europy (np. „Niewierni” wg Calderona de la Barca, autorskie „Ballada o Wołyniu” i „Wyklęci” czy „Dzień gniewu” Romana Brandstaettera).

Spektakl reżyserują – Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak, a premiera odbyła się 22 i 23 października 2016 r. w renesansowych wnętrzach staromiejskiego Ratusza w Tarnowie.

Przedstawienie zostało wystawione z okazji przypadającego w 2016 roku potrójnego jubileuszu Kazimierza Brauna – 80-lecia urodzin, 55-lecia pracy teatralnej i 45-lecia pracy akademickiej.

Kazimierz Braun rodzinnie i emocjonalnie jest związany z Tarnowem. Tu mieszkał jego ojciec Juliusz, tu działał jego stryj Jerzy (autor słynnej harcerskiej pieśni „Płonie ognisko w lesie”), którego imię nosi tarnowskie Gimnazjum nr 4. Marzeniem prof. Brauna było więc swój jubileusz obchodzić właśnie w Tarnowie. Ze względu na związki z Tarnowem otrzyma on honorowe obywatelstwo miasta Tarnowa.

Kazimierz Braun jest wybitnym znawcą twórczości Cypriana Kamila Norwida. Swoją drogę teatralną rozpoczął od napisania pracy dyplomowej pt. „Koncepcja teatru Norwida”. Jest też najważniejszym inscenizatorem norwidowskich dzieł, zarówno na scenie klasycznej, jak i w teatrze telewizji. O teatralnych pracach odwołujących się do twórczości „czwartego wieszca” napisał książkę „Mój teatr Norwida”.

Na podstawie: *Tarnów. Premiera „Powrotu Norwida” w Teatrze Nie Teraz*, www.teatrdlawas.pl

Amerykańskie podróże Heleny

Modrzejewskiej



Arden w Kalifornii, dom Heleny Modrzejewskiej i Karola Chłapowskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

...cudownie mi się przedstawiał o zachodzie słońca, gdyśmy się doń na statku zbliżali. Byłam rzeczywiście w ekstazie, porównywałam go ze wszystkimi znanymi mi z widzenia i z opisów miastami i nie znalazłam równego mu w pamięci, tak nic jego powierzchowność nie ma w sobie europejskiego –

zadecydowałam nareszcie, że tak musiała wyglądać Kartagina lub Babilon, ze swymi kolorowymi gmachami, złożonymi sklepieniami, łukami etc. etc. [1]

– opisywała Helena Modrzejewska swoje oczarowanie linią brzegową Nowego Jorku, gdy statek parowy, którym wybrała się wraz z rodziną w podróż życia, dopływał do portu.

Helenie Modrzejewskiej podróżowanie nie było obce. Wymagał tego zawód aktorki. Najpierw były wyjazdy z Bochni do Nowego Sącza, potem dalej do Rzeszowa i Przemyśla, wozem z płócienną budą osłaniającą od słońca, deszczu i wiatru, z sześcioma osobami razem z woźnicą, wszystkimi akcesoriami scenicznymi, papierowymi dekoracjami, kurtyną z perkalu, dwiema tabliczkami *Teatr* i *Kassa* oraz całą garderobą głównej aktorki, którą były *dwie suknie materialne: biała i czarna*[2]. Po czasie, jako uwielbiana krakowska aktorka, wyjeżdżała na gościnne występy z zespołem teatralnym, już w bardziej komfortowych warunkach. Ciągłe były to jednak występy w Polsce. Marzenia o dalekich, zamorskich krajach pojawiły się dopiero w Warszawie, gdzie zamieszkała wraz z mężem, Karolem Chłapowskim, po otrzymaniu kontraktu Teatrów Rządowych. Modrzejewska wszędzie zdobywała uznanie i aplauz, tak na scenie, jak i w życiu towarzyskim. U Chłapowskich odbywały się słynne *wtorki* artystyczne, na których bywali: Moniuszko, Sienkiewicz,

Chmielowski, Witkiewicz, Chełmoński. Wszyscy oni wnosili do domu aktorki pewien koloryt i artystyczną atmosferę. Myśli ich zaczęły wybiegać poza Warszawę, rozmawiano o dalekich podróżach, przyglądano się wielkiej mapie, która była stałym już wyposażeniem salonu. Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na pomysł egzotycznego wyjazdu do dalekiej Kalifornii. Może Juliusz Sypniewski, jedyny *rolnik* wśród artystów, przyjaciel Karola Chłapowskiego z celi[3]. Może Henryk Sienkiewicz, z niezwykle rozpaloną wyobraźnią i żyłką poszukiwacza przygód. W każdym razie od tej chwili już o niczym innym nie mówiono. Na ostateczną decyzję wpłynął jeszcze jeden fakt. W styczniu 1876 r. weszła na afisz sztuka Lubowskiego „Nietoperze”. Gdy w pewnym momencie spektaklu, na którym byli obecni państwo Chłapowscy, aktor ucharakteryzowany na męża artystki powiedział ze sceny: *A ja sobie żyję z kapitału mojej najdroższej żoneczki*, wszyscy wiedzieli o kogo chodzi. U ziemianina bez majątku, Karola Bodzenty Chłapowskiego, zaczęło wtedy kiełkować marzenie o wielkiej, przynoszącej duży dochód kalifornijskiej farmie[4]. Helena Modrzejewska też chciała, aby mąż mógł poczuć się gospodarzem na włościach. Poza tym kusiły ją nowe wyzwania. W Polsce osiągnęła już przecież wszystko, co można było w tym czasie osiągnąć.

W lutym 1876 r. do Kalifornii pojechali Henryk Sienkiewicz i Juliusz Sypniewski, aby znaleźć odpowiednie miejsce do osiedlenia się dla nowych imigrantów. Dom niedaleko Anaheim

wydawał się być odpowiedni. Na wybór miejsca miał też wpływ język. Większość członków grupy, która zamierzała wyemigrować nie znała języka angielskiego, za to znakomicie władali niemieckim. Sąsiedztwo niemieckich osadników miało więc znaczenie. – *Sypniewski wrócił z entuzjastyczną relacją na temat piękności Kalifornii* – pisała Modrzejewska w swoim pamiętniku. – *Zgodnie z jego opinią, raj był niczym w porównaniu z tym krajem zielonych łąk, niebieskich zboczy górskich i kwitnących drzew pomarańczowych***[5]**.

Zaczęto więc przygotowania do tak dalekiej podróży w nieznane. – *Zakupiło się wiele, bardzo wiele ekwipunku – ciężkie dery, teleskopy, mosiężne zawiasy do drzwi, strzelby etc.; dwa duże pudła lekarstw i pojemną szkatułę instrumentów chirurgicznych, a przede wszystkim sześć rewolwerów! Nawet ja zostałam obdarowana jednym z nich, sztuka bardzo ozdobna, wykładana masą perłową. Nasze umeblowanie zostało wystawione na sprzedaż, ale książki, obrazy i osobistą garderobę pakowało się starannie do podróży, aby nam to wszystko towarzyszyło w wyprawie do dzikich okolic, jako niezbędne artykuły pierwszej potrzeby w „prostym życiu”***[6]**.



Helena Modrzejewska w Nowym Jorku,
fot. zbiory własne.

13 lipca 1876 roku aktorka wraz mężem, synem, przyjaciółmi i ich dziećmi, dziewczyną do pomocy oraz ogromną ilością kufrów,

waliz i pudeł wyruszyła w podróż życia, wsiadając na niemiecki parowiec „Donau”, aby rozpocząć zupełnie nowy rozdział. Po 10-cio dniowej podróży przez Ocean zatrzymali się na kilka tygodni w Nowym Jorku. Niestety, czar prysł, wielka amerykańska metropolia nie wydawała się już tak imponująca. – *Dostawszy się do miasta, nic z tego wszystkiego, co mi się z dala tak pięknym wydawało nie znalazłam* – dzieliła się aktorka swoimi odczuciami – *natomiast dużo brudu, miliony omnibusów, kolei żelaznych – a sztyldów i anonsów takie mnóstwo, że czasem koloru domu pod nimi dopatrzyć się nie można. Mania sztyldów dochodzi tu do absurdu.* [7]

Następnym etapem była Kalifornia. Postanowili płynąć statkiem wzdłuż północnej Ameryki, aby poznać nowy kontynent. Wypłynęli z Nowego Jorku do Panamy. Po drodze jednak statek został uszkodzony, zostali więc odholowani z powrotem do Nowego Jorku, aby przesiąść się na inny statek. Nie było jeszcze wówczas Kanału Panamskiego, który powstał dopiero w latach 1904-1914. Trzeba się było więc przesiąść na pociąg, przejechać Panamę i wsiąść na kolejny statek, żeby dostać się do San Francisco. Nowi osadnicy przybyli więc na miejsce dopiero po wielotygodniowej podróży. Kalifornijski „raj na ziemi”, jak go przedstawiali Sienkiewicz i Sypniewski, rozczarował ich. Na odbiór okolicy wpłynęła zapewne też pora roku. Było gorąco i sucho i nie tak zielono, jak wiosną, po porze deszczowej. – *Wynajęty dom wydał nam się za mały* – pisała Modrzejewska w

pamiętnikach. – *Dwie sypialnie, jadalnia, salon z pianinem i kanapą. Rzucająca się w oczy banalność tego wszystkiego mogła odebrać otuchę, a ogródek przed domem z jego cyprysami, przyszyżoną trawką i bezładnymi klombami kwiatów przypominał biednie utrzymany cmentarzyk. Co jedynie ratowało sytuację, to otwarty widok na góry – od północy na Sierra Madre, od wschodu na Santa Ana Range. Ale ja się rozczarowałam ogromnie i omal nie wykrzyknęłam – Och! Dlaczego nie zamieszkamy w namiotach. [8]*

Takie były początki na nowej ziemi. Wtedy zapewne Modrzejewska nie przypuszczała, jak trwały ślad tu zostawi i jak wielką zdobędzie sławę. Nie myślała, że spojrzy na siebie i swój kraj z zupełnie innej perspektywy, nabierze dystansu, rozwinie skrzydła. Kosztowało ją to ogrom pracy i wysiłku. Jedną z głównych przyczyn jej amerykańskiego sukcesu, była niebywała ilość podróży. Stała się przez to znana i kochana na całym amerykańskim kontynencie. Dotarła wszędzie gdzie ją zaproszono, grała w wielkich, prestiżowych salach, takich jak Metropolitan Opera w Nowym Jorku, w znanych teatrach w dużych miastach, ale i w małych, prowincjonalnych teatrzykach, daleko od centrów kulturowych, do których niewielu aktorów docierało. Objechała wszystkie stany w USA i wiele prowincji w Kanadzie i to po kilka razy. W sumie odbyła XXIII tury. Oprócz wielkiego talentu, urody i niezwykłej pracowitości, na sukces Modrzejewskiej miał wpływ rozwój kolei, która gęsto pokrywała

swoją siecią ogromne obszary USA. Artystka na pewno nie chciałaby wrócić do początków swojej kariery i podróżować od miasta do miasta wozem z płócienną budą, zwanym w Ameryce „conestoga”. A takimi wozami zdobywano „Dziki Zachód”. Jechano po wyboistych drogach, z całymi rodzinami i bagażami, bez możliwości zatrzymania się w godnych warunkach na odpoczynek w przydrożnym zajeździe czy hoteliku, jak to było w Europie. Nie byłoby też możliwe podróżowanie dyliżansem, który jechał ze średnią prędkością 12-15 km na godzinę, w zależności od pory roku, pogody, stanu dróg i ilości koni. Podróże dyliżansem wiązały się też z postojami, w różnych miejscach, często niebezpiecznych. Dopiero rozwój kolei zrewolucjonizował podróżowanie po tym wielkim kontynencie. Kolej regularnie zaczęła kursować w latach 30. XIX wieku. Pierwszy parowóz „John Bull” sprowadzono z Anglii w 1832 roku do stanu New Jersey. Szybko też powstał na miejscu przemysł parowozowy i w rekordowym tempie zbudowano sieć szyn. W 1840 roku ogólna długość linii kolejowych na świecie przekroczyła 9000 kilometrów, z czego aż 4500 kilometrów znajdowała się w USA. Pociągi były jak na owe czasy bardzo szybkie. W latach 40. XIX w. przekroczone barierę 100 km/godzinę. To był rekord. Średnio jednak pociągi jeździły z prędkością ok. 80 km/godzinę. Pierwotnie, co jakiś czas stawano na stacjach na dłuższy postój, by pasażerowie mogli się posilić w licencjonowanych bufetach dworcowych. USA jako pierwsze, w latach 60. XIX w. wprowadziły wagony restauracyjne. To znacznie przyspieszało

podróż. Wymyślono też wagony sypialne, dla wygody pasażerów, pokonujących wielodniowe odległości. Pierwszy wagon sypialny w USA (George'a M. Pullmana) zaczął kursować między Chicago i Bloomington w 1859 r. Wprowadzono też (wówczas tylko w USA) luksusowe wagony salonowe tzw. „parlour cars”, kursujące pomiędzy głównymi miastami.

Helena Modrzejewska przemierzała ogromny kontynent wzdłuż i wszerz głównie pociągami. Tak też układane były jej trasy, uzależnione od miejsc, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Czasami trzeba było dojechać jeszcze końmi. Kariera Modrzejewskiej się rozwijała, przybywało kostiumów i dekoracji. Z czasem, gdy założyła własną firmę *Helena Modjeska Company* miała swój wagon „Poland”, pierwszy raz w historii tego kontynentu. Urządziła go, jak dom, z wygodnym łóżkiem, lustrem, obrazami na ścianach, dywanami i książkami. W końcu spędzała tu dużą część swojego życia. Miała tam – *salon z szafami pełnymi książek, kilkoma dobrymi sztychami i wielkimi wazonami świeżych kwiatów. Sypialne przedziały Madame mogły być sypialniami wielkiej księżnej; srebrny komplet przyborów toaletowych z wyrytymi herbami Chłapowskich błyszczał na ozdobnym stoliku, a łóżko pokryte było bielizną z monogramem, brokatową kołdrą i podbitą futrem narzutą. Przedział jadalny był urządzony w podobnym stylu. Używano najlepszej porcelany i bielizny stołowej, a posiłki przygotowywane przez polskiego kucharza były wyborne, gdyż Madame i jej mąż byli*

zapamiętałymi smakoszami. Podczas długich przejazdów koleją Madame prowadziła tryb życia odznaczającym się pełnym wdzięku zachowaniem form. Jej dyrektor zespołu, pierwszy aktor oraz dwaj członkowie zespołu w kolejnej ważności byli zapraszani codziennie do wagonu na śniadanie lub obiad. Przestrzegano ściśle protokołu i siedzieli oni stosownie do swych stanowisk w trupie. [9]

W pierwszą podróż teatralną po miastach i miasteczkach Kalifornii i Newady artystka wybrała się jesienią 1877 roku. Wtedy miała miejsce prapremiera „Damy Kameliowej” A. Dumasa w przeróbce pod tytułem „Camille”. Modrzejewska pojechała z partnerami z California Theatre z San Francisco. Zapamiętała zjazd w Virginia City na samo dno kopalni srebra. Gdy wręczyła dolara przewodnikowi, tego zamurowało. Okazało się, że był to właściciel kopalni, który z grzeczności oprowadził artystkę. [10]

Na początku grudnia 1877 roku aktorka po raz pierwszy pojechała koleją transkontynentalną do Nowego Jorku. Jechała kilka dni i kilka nocy. Ten olbrzymi kraj, o tak różnych krajobrazach i klimatach, wywarł na niej ogromne wrażenie.

Pierwszą amerykańską turę zorganizował jej impresario Sargent i to już w 1878 roku. Helena Modrzejewska była przerażona, 5 miesięcy nieustającego grania, 17 miast, 17 różnych hoteli, w

każdym mieście nowe próby i inne warunki sceniczne oraz nowi partnerzy. Jedynie niedziele były wolne od grania, ale te trzeba było spędzić w pociągu. [11]

Druga amerykańska tura zaczęła się 16 września 1878 roku w Filadelfii, a skończyła w połowie maja 1879 roku. Była bardzo wyczerpująca – 35 tygodni w drodze, 50 miast, 240 przedstawień, 6 sztuk w repertuarze, dwie nowe premiery. Takiej ilości występów, w takim czasie i na tak dużym terenie nie miał dotąd żaden aktor. Mówiło się, że Modrzejewska otworzyła nowy rozdział w amerykańskim systemie wędrownych artystów. Aby zrealizowanie tak ambitnego planu było możliwe, impresario po raz pierwszy wtedy wynajął artystce wagon kolejowy. Potem własne wagony stały się normą wśród podróżujących aktorów, mówiło się nawet, że ten system przyczynił się do upadku stacjonarnych scen w amerykańskich teatrach. [12]

Drugi „tour” zakończyła 17 maja w New Haven. Helena Modrzejewska musiała się nauczyć zasypiać w każdych warunkach, jeść na dworcach w pośpiechu, w poczekalniach „różne świństwa ze stu różnych kuchni między Kanadą a Nowym Orleanem”, nie mogła chorować, mimo, że przebywała w różnych klimatach, uścisnęła dłonie tysiącom ludzi, odpowiedziała na tysiące pytań. [13]

Trzeci amerykański „tour” Modrzejewskiej zorganizował nowy

impresario Fred Stinson w 1882 roku. Miał być to „pożegnalny tour”, prasa w całej Ameryce ogłosiła, że po tych występach, artystka wraca na stałe do Europy. Nie trudno się domyśleć, że dochód był ogromny. Impresario określił go „łatwym tourem”, tylko 38 tygodni w podróży, mniej małych miast, więcej dłuższych postojów. Jednak Modrzejewska nie podzieliła tej opinii. W planach był – trzy pierwsze tygodnie Boston, potem dwa małe miasta, 5 tydzień Brooklyn, 6 – Troy i Albany, 7 i 8 – Filadelfia, 9 – małe miasteczka, 10 – Waszyngton, potem miesiąc w Nowym Jorku bez przerwy na Święta, a potem kolejno po tygodniu Cleveland, Cincinnati, Louisville, St. Louis, dwa tygodnie w Chicago, potem Milwaukee, Pittsburgh, Buffalo, potem kilka miast w Kanadzie i znów Nowy Jork. Po 16 przedstawieniach w Nowym Jorku podróż przez ogromny kraj do San Francisco. I cztery tygodnie codziennych występów w San Jose, Sacramento, przejazd przez Sierra Nevada do stanu Utah i Salt Lake City, a potem do Denver w Colorado. Tam 16 czerwca 1882 zakończyła się ta „łatwa” tura. [14]



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot.
ze zbiorów Fundacji Heleny
Modrzejewskiej w Arden.

W 1883 roku amerykańskie gazety doniosły, że wielka gwiazda jednak przedłuży pobyt w Ameryce o rok i odwiedzi te miasta, do

których nie zdążyła dotrzeć.

Czwartą amerykańską turę poprowadził Karol Chłapowski, z pomocą dotychczasowego impresario Freda Stinsona. Ze względów finansowych taki układ na pewno się opłacał, jednak na polu organizacyjnym pojawiło się wiele trudności, a roztargnienie męża artystki przeszło do legendy. Chłapowski mylił miasta, pociągi, osoby, terminy spraw. Mimo niezwykłego odczytania i znajomości czterech języków był tematem żartów. Modrzejewska w końcu postanowiła – niech „tour” firmuje Karol, ale organizacją zajmie się Stinson, a ona wypłaci mu pensję. Dzięki takiemu zabiegowi 40-to tygodniowa tura się odbyła. Pod koniec tury Modrzejewska była już bardzo zmęczona. Zaliła się w liście do Witkiewicza – *Okropnie głupie to życie moje, co mnie pochłania, niszczy i sprowadza do rzędu stworów wegetujących, a nie żyjących. Jestem już prawie taką istotą na wpół roślinną, a na wpół zwariowaną.* **[15]** Tura skończyła się w połowie 1884 roku. Modrzejewska popłynęła do Europy, w planie miała pobyt przez dwa lata. Jednak Ameryka nie chciała jej tak łatwo wypuścić. Artystka podpisała kontrakt na kolejną, 5 turę, którą rozpoczęła jesienią 1885 roku. Znów zagrała ogromną ilość przedstawień (245), z których tylko jedno odwołała, przejechała przez 80 miast, była w Nowym Orleanie, w Omaha, w Houston, w Bostonie, dwukrotnie w Kanadzie, czterokrotnie w Nowym Jorku, dwukrotnie w Chicago, w Filadelfii, w Cincinnati.

Ważne w karierze Modrzejewskiej były występy w Kanadzie, choćby dlatego, że Kanada nie była wówczas tak rozwinięta jak Stany Zjednoczone i była młodym krajem. Jako państwo zaczęła funkcjonować dopiero w 1867 r. po zjednoczeniu brytyjskich kolonii leżących na północ od rzeki Św. Wawrzyńca i Wielkich Jezior. Dopiero z czasem się rozrastała, przyłączając kolejne prowincje. Poza tym, w przeciwieństwie do Stanów była cały czas zależna od Korony Brytyjskiej. Nie miała tylu scen, ani dobrze zorganizowanej sieci kolejowej i była „daleko na północy”.

Teatry, w których grała Modrzejewska w większości już nie istnieją. Piękny budynek Grand Opera House otwarty w 1874 roku przy Adelaide Street West w Toronto, został tylko na starych fotografiach. Obecnie w tym miejscu stoi 68-piętrowy, nowoczesny budynek Scotia Plaza, usytuowany w rejonie finansowym. Jedynym śladem po dawnej świetności artystycznej tego miejsca jest niewielki pas biegnący na południe z Adelaide Street West, o nazwie „Grand Opera Lane”.

Przyjazd Heleny Modrzejewskiej do Kanady był zainspirowany barwnym pisarstwem Henryka Sienkiewicza. W jednym z „Listów z podróży do Ameryki” znalazł się niezwykle obrazowy opis wodospadów Niagara, który ją do tego stopnia zaciekał, że zapragnęła ujrzeć to miejsce. Zobaczyła wodospady 8 grudnia 1878 roku. A już na początku 1878 roku miała uzgodnione pierwsze występy w Kanadzie.

Pobyt w Toronto niestety mocno rozczarował Helenę. Grała „Damenę Kameliową” Aleksandra Dumasa. 15 marca 1878 roku pisze list z Toronto do męża. – *Tutaj Adelajda Neilson***[16]** *jest uważana za bóstwo i publiczność z trudem daje się przekonać, że kto inny może być równie dobry lub lepszy niż ona. Wychodząc z teatru szepczą „lepsza niż Neilson”, ale nie mają odwagi powiedzieć tego głośno, jakby się wstydzili czy bali. Trupa, z którą gram jest pod psem.* **[17]**

Modrzejewska występowała w Toronto jeszcze kilka razy na początku lat 80-tych oraz 90-tych XIX wieku. Ale już kolejny przyjazd do Kanady zostawił zupełnie inne wrażenia, niż pierwszy. Między 12 a 14 października 1893 roku Karol Chłapowski pisze w liście do rodziny. – *Mamy teraz najlepszy zespół w Ameryce, wszyscy w nim to artyści. Przez kilka pierwszych tygodni w Toronto byliśmy bardzo zajęci codziennymi próbami, ale po półtora miesiąca jest już wszystko prostsze, tak, że mamy całe dni wolne, a zajęte tylko wieczory. Mam mnóstwo pisanie i łażenia każdego dnia. Wolne chwile to książki, wist lub pasjans. (...)*

Jak bardzo Helena była uwielbiana i popularna w Kanadzie świadczy nazwanie jej imieniem statku parowego, który przez wiele lat pływał po jeziorze Ontario. Był to wówczas jedyny przypadek w historii, aby tak uhonorować żyjącego aktora. Parowiec pasażerski „Modjeska” zbudowano i wodowano w

stoczni szkockiej w Glasgow w 1889 roku na zamówienie kanadyjskiego przedsiębiorstwa. Statek pływał pomiędzy Hamilton i Toronto do 5 VII 1924 r., kiedy to zderzył się z innym statkiem. Wyremontowany został przemianowany na „Manitoulin” i pływał jeszcze do 1953 r.



Helena Modrzejewska w roli Porcji z
„Kupca weneckiego” W. Szekspira, fot.
zbiory własne.

Helena Modrzejewska przejechała wielokrotnie amerykański kontynent wzdłuż i wszerz. Przyzwyczaiła się do stukotu szyn i gwizdów przed stacjami. Ale jak powtarzający się w nieskończoność refren pisała w listach do przyjaciół i rodziny w Polsce – jeszcze tylko ten rok, jeszcze tylko kilka razy zagra w Nowym Jorku czy w Chicago i wróć z Karolem do Polski, już na zawsze. Jednocześnie bogactwo amerykańskich możliwości uzależniało, teatralna rozkręcona machina wciągała, mnóstwo niedokończonych spraw czekało, nie łatwo było więc ten świat zostawić.

Helena Modrzejewska odbyła w sumie dwadzieścia trzy amerykańskie tury, każda trwała kilka miesięcy. Ostatnia tura rozpoczęła się 15 października w New Jersey w 1906 roku, a zakończyła w marcu 1907 r. Była to jedna z trudniejszych tur. Pierwsze dwa miesiące artystka podróżowała bez swojego wagonu sypialnego, z tego względu, że tura zawierała bardzo dużo małych miast, które nie miały stacji kolejowej. Modrzejewska ciągle była niedospana, mimo, że twierdziła, iż bez 8 godzin snu na dobę jest „nie do grania”. Prawie codziennie zatrzymywali się w innym hotelu. Na całej trasie zgotowano jej

huczne pożegnania. Finał z Lady Makbet uznano za doskonały. Pisała z drogi – *Miałam próbę generalną z Marii Stuart, na której musiałam być obecną. Tak byłam zmęczona tego dnia, że usiadłszy w wygodnym krześle w łóży w antraktach usnęłam, ku wielkiemu zdziwieniu naszego reżysera. (...) Wczoraj po południu machnęłam Marię Stuart, wieczorem Makbetową, teatr był dość pełny mimo wielkiej imprezy konkurencyjnej w owym mieście Hartford w stanie Connecticut. [18]*

To nieustanne życie w pociągu i na walizkach, ciągłe pakowanie, stukot kół, dworce, obcy ludzie, hotele, przyczyniły się do bardzo silnego marzenia o posiadaniu domu, o miejscu powrotów. Życie składa się z wielu antynomii. W Polsce, pod zaborami artystka miała nieustanną pokusę, aby uciec do wolności, pozbyć się więzów. Wtedy marzyły jej się wielkie, nieograniczone przestrzenie, które będzie mogła przemierzać bez żadnych ograniczeń. Skoro podróże były już jej codziennością, a nawet uciążliwym przymusem, stabilizacja, stworzenie sobie i swojej rodzinie własnego gniazda, stało się celem.

Artystce marzyło się stworzeniu miejsca, inspirowanego literaturą – Lasu Ardeńskiego rodem ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba”, schronienia artystów, filozofów i twórców kultury, gdzie „czas płynie beztrosko, jak w złotym wieku”. Poza tym była już na takim etapie sławy, że wypadało mieć swoją posiadłość. Widziała wiele siedzib wielkich artystów i zdawała

sobie sprawę z tego, że stanowią one doskonałą ramę do ich zawodowych sukcesów.

Helena Modrzejewska i Karol Chłapowski po raz pierwszy zobaczyli uroczysko i drewniany dom malowniczo położony u stóp Gór Santa Ana w Santiago Canyon w Kalifornii w 1876 roku, podczas wakacyjnej podróży do Anaheim. Zachwycili się miejscem i okolicą. Wtedy była to 160-cio akrowa posiadłość górską, należąca do pary pionierów – Józefa i Marii Refugio Pleasantów.

W 1883 roku, podczas kolejnego pobytu w Kalifornii Chłapowscy kupili pół praw do posiadłości Pleasantów w Santiago Canyon, a w 1888 r., po śmierci Marii Refugio, dokupili pozostałe prawa oraz dodatkową ziemię wzdłuż potoku i zaczęli planować znaczącą rozbudowę domu. Poprosili słynnego wówczas architekta z Nowego Jorku, Stanforda White’a o zaprojektowanie przebudowy. Prawdopodobnie architekt ten nigdy nie widział domu w Ardenie, pracował na odległość, mając jedynie do dyspozycji fotografie i szkice. Kupno rancho spowodowało, że zaczęli spędzać tam dużo czasu, ciesząc się pracą nad upiększaniem swojego kalifornijskiego zakątka.



Salon w Ardenie Heleny Modrzejewskiej, fot. ze zbiorów Fundacji Heleny Modrzejewskiej w Arden.

Z czasem przed domem pojawił się ogród różany, z ukochaną karmazynową odmianą „Henrietta”, wielka radość i duma

artystki. – *Nowa róża właśnie wczoraj rozkwitła* – pisała do pani Winter z Tustin, 9 września 1896 r. – *Baronness Rothshild jest duża, w kolorze różowym, na długiej łodydze, z liśćmi i ma zapach herbaciany.*

Dom opleciony kwitnącymi klombami i kaktusami odbijał się bielą od zieleni drzew i krzewów, a blasku dodawały mu zielone obramowania okien i kolorowe zasłony we francuskich oknach. Zdobiły go werandy, na których wiecznie wygrzewał się kot i wylegiwał pies. Wokół śpiewały oswojone ptaki, a z daleka widać było czasami przychodzące z gór kozice. Wnętrze 12-to pokojowego domostwa odzwierciedlało upodobania gospodarzy. W środku znajdowała się biblioteka z wielkim, trójdzielnym oknem i widokiem na góry. Dookoła ciemne dębowe półki z literaturą polską, francuską, niemiecką i angielską z królującym Szekspirem. Na sztalugach portret artystki w efektownej, złotej ramie, a na ścianach malarstwo, głównie polskie. Na podłodze leżały miękkie, perskie dywany, a pośrodku stał mahoniowy stół z egzemplarzami teatralnymi, wycinkami prasowymi i albumami pełnymi fotografii. W kącie elżbietański stolik – prezent od aktora Joe Jeffersona.

Jadalnia to królestwo Karola Chłapowskiego. Długa i przestronna, mogła pomieścić kilkanaście osób. Duży, ceglany kominek wieńczyła głowa bawołu z rogami. Na pozostałych ścianach wisiała kolekcja starej, cennej broni – miecze, oszczepy,

flinty, sztucery...

Dom stawał się unikalnym miejscem, łączącym egzotykę Kalifornii z atmosferą polskiego dworu i chaty góralskiej, klimatem wystawnej posiadłości ziemskiej z letnią willą, gdzie na werandach, ocienionych krzewami pija się popołudniową herbatę. Stawał się oazą, ucieczką od reszty świata. – *Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Ardeny myślami byłam daleko od sceny* – pisała artystka w swoich „Wspomnieniach”.

Tu nie grała ról teatralnych, ale grała wiele ról życiowych, żony, matki, córki, ciotki, pani na włościach. Inscenizowała nie tylko swoje życie, ale i życie innych, Karolka, Dolcia, siostrzenic i bratanków. Poczuła się Rozalindą z Ardeńskiego Lasu. Wybierała się na przejażdżki konne po okolicy na koniu, którego nazwała imieniem szekspirowskiego partnera Rozalindy – Orlanda. Życie i scena wzajemnie się przenikały.

Codziennosc w Ardenie zdawała się być sielska, romantyczna i poetycka. Pierwsze śniadanie podawano zawsze na werandzie pod dębami, drugie – pakowane było w koszyczki, aby każdy mógł zjeść piknik gdzie chciał i z kim chciał. Obiad był wspólny, jedzony przy dużym stole w jadalni. Potem grano na instrumentach, lub w karty i gawędzono. O godzinie 10-tej podawana była herbata. Wieczorem czytało się książki lub spacerowało pod gwiazdami, wśród mocnej woni bujnej

roślinności, w towarzystwie cykad.

Ten ziemski raj był idealnym miejscem, aby rozwijać swoje talenty. Mimo zajęć gospodarskich, Helena rygorystycznie narzucała sobie ćwiczenie ról. Czytała bardzo dużo książek, miała też niebywały talent literacki. Właśnie tu, w Ardenie mogła spokojnie pisać swoje „Wspomnienia”, dzięki którym tak dużo wiemy o jej życiu. Stąd wysłała bardzo wiele listów do rodziny i przyjaciół, niemal w każdym z nich zawierając część swojego królestwa. Oddawała się też malowaniu, robiła drobne upominki ze swoich rysunków, ozdabiała bajki dla swoich wnuków.

Helena Modrzejewska spotykała się też z okolicznymi sąsiadami. „Bratała się” także z ludem podczas barbecue, czyli jak to nazywała „obrzędowego pieczenia całego wołu na rożnie”, podawanego z chili rozgniecionym na papkę i popcornem. – *Popcorn jest to rodzaj kukurydzy, który w górę skacze, gdy się go piecze, a po upieczeniu wygląda i smakuje jak wata* – pisała do Józefa i Teonii Chłapowskich. – *Robią z tego duże kule ocukrzane, które amerykańskie dzieci z namietnością pożerają, za co niech Bóg da im zdrowie, bo ten ich cudaczny gust podnosi cenę owej kukurydzy do wcale poważnej cyfry.* Podczas takich ludowych imprez tańczyła z pastuchami ubranymi w spodnie w lampasy i sombrero, przy dźwiękach zawodzącej gitary. Chciała poznać lud, który tu mieszkał i jego jakże odmienne zwyczaje.

Państwo Chłapowscy w ciągu 18 lat spędzili w Ardenie wakacje i wszystkie inne okresy odpoczynku (od 1888 do 1906 r.). [19]

Helena Modrzejewska notowała swoje spostrzeżenia na temat Ameryki. Była bystrym obserwatorem i widziała wiele szczegółów. Jej opisy są barwne i plastyczne. To dodatkowy element będący konsekwencją licznych podróży. Jaka zatem była XIX wieczna Ameryka Modrzejewskiej? *Pełna różnorodności – pisze we „Wspomnieniach” – budynki w tysiącnych stylach i bez stylów, lud na ulicach także dający wyobrażenie o wieży Babel, rozmaite typy mówiące różnymi językami. Tu Indianin noszący z dumą swoje łachmany, tam Murzyn w cylindrze i z laseczką, tu znów Murzynka wyrywająca przed sklepem zęb swemu bosemu jedynakowi lub małe czarne bębny przystrojone w kawałki firanek czy modne kapelusze. Francuzki sprzedające kwiaty, Włoch grający na kataryncie, Niemiec sprzedający kiełbasy, Indianki skulone, okryte rządowymi kołdrami i z dużymi puklami włosów na głowach, sprzedające koszyki i zioła, lub jankes wędrujący z ruletą.* [20] Tak się artystce jawiła Ameryka drugiej połowy XIX wieku. Fetującą, ale i nie rozumiejącą. Ciężka do zdobycia, ciężka do przebycia.



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot.
ze zbiorów Fundacji Heleny
Modrzejewskiej w Arden.

Ślady po podróżach Heleny Modrzejewskiej istnieją w Ameryce

do dziś. W wielu nazwach geograficznych w Kalifornii figuruje się nazwisko Modjeska – miasteczko, stacja kolejowa, droga szybkiego ruchu, kanion, straż pożarna, sklep, szczyt czy wodospad zostały nazwane nazwiskiem aktorki. W antykwariatach czy na aukcjach pojawiają się XIX wieczne pocztówki z artystką i jej domem, nuty utworów komponowanych dla niej, japońska porcelana Noritake Modjeska, srebrne sztucce Oneida Community Modjeska, opakowania po kosmetykach firmy Larkin z ekskluzywnej serii Modjeska, programy teatralne czy afisze. z wielkim nazwiskiem Modjeska pośrodku. Przedmioty te przemawiają, wyłania się z ich obraz kobiety o niebywałym stylu i smaku. Kobiety, do której zgłaszały się duże firmy, aby użyczała swojego nazwiska dla różnego rodzaju produktów. Szyto więc damskie stroje *a la Modjeska*, można było kupić kapelusze *a la Modjeska*, czy też różne przybory toaletowe *a la Modjeska*. Aktorka stała się w Ameryce tak naśladowana, że w miastach, przez które przeszła, zaczęła dyktować nie tylko modę, ale i maniery, zachowanie, gesty. *Bombonierki, obwoluty do cygar i pudełka od zapalek ozdabiano jej wizerunkiem; nawet w restauracjach podawano zające i kompoty a la Modejska* – jak napisał jeden z recenzentów. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie” Modrzejewską. Artystka nie wiedziała w czym nakryciu głowy ma wyjść na scenę. Kapelusze z napisem *Modjeska* czy żakiety *Modjeska* szły jak przysłowiowa woda. W miastach, w których występowała bez końca fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie

kosze kwiatów z „gwiazdą północy” na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż. Modrzejewską nazywano „Gwiazdą północy”, czyli przybyłą z Polski, kraju leżącego gdzieś tam na północy Europy. Po występach zgłaszali się do niej producenci różnych firm, aby użyczyła nazwiska dla reklamy. Tak było np. z czekoladkami, które można kupić do dziś w wielu sklepach Ameryki. 7 grudnia 1883 roku Anton Busath był na premierze „Domu Lalek” Ibsena w Teatrze McCauley w Louisville w stanie Kentucky. Helena Modrzejewska go oczarowała, chciał więc upamiętnić ją w nazwie wytwarzanego przez siebie produktu. Dziś ta sama wytwórnia czekoladek działa w stanie Kentucky pod nazwą Bauer’s Candies i ma w ofercie 16 zestawów czekoladek *Modjeska*, wyróżnionych w osobnym dziale na stronie internetowej, jako seria ekskluzywna. W Milwaukee, Wisconsin działa zbudowany w 1910 roku Modjeska Theatre, który wprawdzie nie wystawia repertuaru Heleny Modrzejewskiej, ale na stronie internetowej przypomina krótki życiorys patronki wraz ze słynnym obrazem Heleny malowanym przez Tadeusza Ajdukiewicza. Życiorys ten nie jest do końca prawdziwy, prawdopodobnie taką wersję życiorysu przedstawiał amerykański impresario artystki. Zapewne nie wszystkie legendy były zdementowane i jako słowo zapisane są świadectwem pewnej kreacji, której wymagała sława.

Dziś prawie każdy stan ma swój festiwal szekspirowski, podobnie w Kanadzie, w Ontario w mieście Stratford coroczna wielka

impreza poświęcona Szekspirowi przyciąga tłumy miłośników sztuki. Niewiele jednak osób zdaje sobie sprawę, że jest to jeden z największych trwałych śladów po podróżach Heleny Modrzejewskiej w Ameryce. To ona spopularyzowała Szekspira w najdalszych zakątkach tego wielkiego kraju.

Dwujęzyczną książkę o Helenie Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi” można kupić przez Amazon:

https://www.amazon.com/Received-People-Helena--Modjeska-Modrzejewska/dp/0615293441/ref=sr_1_1?ie=UTF8&qid=1486658876&sr=8-1&keywords=Sokolowska-Gwizdka

Przypisy:

[1] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[2] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[3] Karol Chłapowski był osadzony w więzieniu w Berlinie za udział w Powstaniu Styczniowym.

[4] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[5] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s.269.

[6] Ibidem, s. 269-270.

[7] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[8] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s. 300.

[9] Ibid. s. 544.

[10] J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975, s. 232.

[11] Ibid. 237.

[12] Ibid. s. 262.

[13] Ibid. s. 278.

[14] Ibid. s. 362.

[15] Ibid. s. 391.

[16] angielska aktorka znana z ról szekspirowskich.

[17] Ibid.

[18] Ibid. s. 664.

[19] J. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009, z rozdziału „U nas w Arden”.

[20] H. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.

BIBLIOGRAFIA:

1957. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.

1958. Fabijańska-Żurawska, Podróże dawniej i dziś, List oceaniczny – dodatek kulturalny dziennika Gazeta pod red. J. Sokołowskiej-Gwizdka, lipiec 2007, nr. 55.

1959. Siedlecki, Helena Modrzejewska, Kraków 1990.

1960. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

1961. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975.

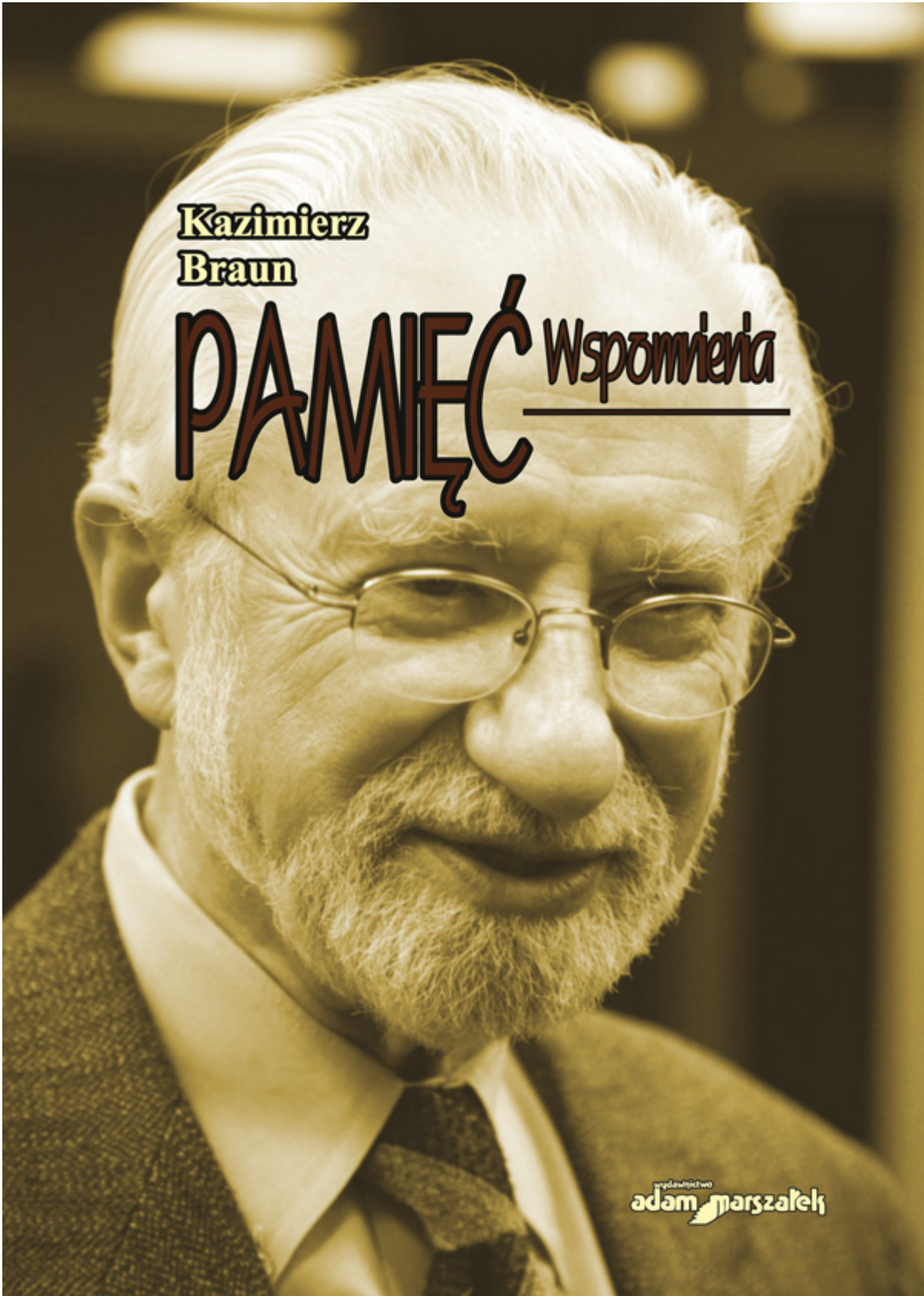
1962. Terlecki, Pani Helena, Kraków 1991.

Z miłości do sztuki. Helena Modrzejewska (1840-1909), prac. zbior., Muzeum Historyczne Miasta Stołecznego Krakowa,

Kraków 2009.

Historia kolei, Wikipedia, Interia.pl.

„Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

A close-up, sepia-toned portrait of an elderly man with white hair, a full white beard, and glasses. He is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt and a dark tie. The background is dark and out of focus.

**Kazimierz
Braun**

PAMIĘĆ Wspomnienia

wydawnictwo
adam marszałek

Joanna Sokołowska-Gwizdka

„W kraju wielokrotnie myślałem o sobie, że jestem na emigracji wewnętrznej. Chociaż długo tego tak nie nazywałem. Ale tak było w ciągu mojego świadomego życia, już od czasów szkolnych, poprzez studia, a tym dramatyczniej, gdy zacząłem pracować w teatrze. To trudne do dźwigania rozłamanie: życie swoje, życie z najbliższymi, życie w wąskich środowiskach, życie duchowe, prawda tego życia i wartości tego życia – skonfrontowane z kłamstwem życia oficjalnego, urzędowego, fasadowego, na wynos, w którym byłem zanurzony na co dzień”. (s. 474)

Książka Kazimierza Brauna „Pamięć. Wspomnienia” to piękna i emocjonalna podróż przez życie. Czytelnik nie tylko poznaje zawikłane losy rodziny Braunów i spokrewnionych rodzin Szymanowskich, Żulińskich, Tymienieckich, Elsnerów....., ale doświadcza też trudnej historii Polski podczas wojny i po wojnie. Trudnej szczególnie dla ludzi pochodzących z ziemiańskich domów, patriotycznie wychowanych, na których ciążyła odpowiedzialność za losy ojczyzny. To w polskich dworach i w polskim kościele przez lata zaborów przechowywane były narodowe tradycje i tam rodziły się idee walki o niepodległość. Gdy otrzymało się takie wychowanie, oczywista była wierność wartościom, lojalność wobec siebie i bliskich.

Opowieść prowadzona jest chronologicznie, od urodzenia Kazimierza Brauna w 1936 roku w majątku dziadka Michała Szymanowskiego w Mokrsku Dolnym, poprzez dom dzieciństwa i wspomnień w Milechowach, okres studiów, wieloletnią pracę w teatrach w Polsce, wykłady na uczelni, aż po wyjazd do Ameryki i budowanie życia od nowa. W toku chronologicznych zdarzeń następują zbliżenia. Jak kamera w filmie pokazuje detal, tak pióro autora zatrzymuje się dłużej na fragmencie pamięci.

Okres dzieciństwa został zatytułowany „Las”, bo to właśnie las był głównym elementem świata dziecka. Dookoła domu był las, do lasu szło się na grzyby, las był miejscem zabaw dziecięcych,w lesie ojciec pochował partyzanta.

W domu w Milechowach wychowywały się nie tylko dzieci Braunów – Tereliza, Kazimierz, Isia i urodzony po wojnie Julek, ale też dziewczynki z innych rodzin – Bożenka, córka siostry ojca – Jadwigi Domańskiej, daleka kuzynka Hania Elsnerówna i nie spokrewniona Iza.

W pamięci autora pozostały migawki z dzieciństwa – samochód przed domem, wyjazd do Krakowa podczas wojny i spotkanie z Józefem Mehofferem, Pierwsza Komunia Święta, babunia, cierpliwie rozcierająca przemarznięte stopy dziecka (ile w tym opisie jest uczuć i ciepła) i najsilniejsze przeżycie..... powrót ojca z niewoli niemieckiej.

Przypomniane są chwile radosne, jak np. szczęśliwe rodzinne Wigilie w Milechowach, ale i chwile wielkiego strachu. Do domu przyjeżdżają Niemcy. Chcą sprawdzić, czy było tu świnioobicie. Zgodnie z przepisami, za nielegalne świnioobicie groziła śmierć. Jednak babunia Henryka Braun, mówiąca świetnie po niemiecku i to z wiedeńskim akcentem, zachowała spokój i opanowała sytuację.

Kazimierz Braun pisze o dwóch punktach zwrotnych w swoim życiu, po których już nic nie było takie samo. Pierwszy – to aresztowanie ojca po wojnie, a drugi – konieczność opuszczenia Polski.

W 1948 roku, władze komunistyczne aresztowały ojca Juliusza Brauna, prawnika. Za dwa lata 14-to letni Kazimierz pojechał z mamą i babcią na odczytanie wyroku do Warszawy. W opisie tym nadal czuć emocje, mimo, że autor pisze wspomnienia po wielu latach. Odczuć też można miłość do rodziców i siłę, jaką w tak trudnych chwilach daje rodzina.

Po szkole im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie Kazimierz Braun próbuje dostać się na studia w Poznaniu. Niestety władze uczelni traktują go jako syna wroga ludu i nie pozwalają zdobyć indeksu. Dopiero, gdy podejmuje pracę robotnika na budowie, jako klasa robotnicza dostaje skierowanie na studia i zostaje przyjęty na polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza

w Poznaniu.

Po pierwszych studiach są studia reżyserskie w PWST w Warszawie. Ten okres jest niezwykle ciekawy dla każdego, kto interesuje się teatrem. Z wielką swadą opisane są zajęcia z wybitnymi reżyserami, m.in. Bohdanem Korzeniewskim, Erwinem Axerem, którego Kazimierz Braun został asystentem, czy uczącym scenografii Andrzejem Pronaszką.

Wielką radością było otrzymanie od dziekana Bohdana Korzeniewskiego nagrody – stypendium Międzynarodowego Instytutu Teatralnego. Dzięki niemu późniejszy reżyser mógł zetknąć się z największymi scenami Europy.

Po okresie zdobywania doświadczenia teatralnego w Polsce i za granicą, otworzyły się dwa rozdziały w życiu Kazimierza Brauna, obydwa bardzo ważne – rodzina i praca zawodowa. Zofia Reklewska też pochodziła z rodziny ziemiańskiej i podobne były jej losy. W jednej z migawek, dotyczących poznania „Zosi”, Kazimierz Braun pisze o szpilkach z Paryża, które przykuły jego uwagę. Potem odkrył piękną właścicielkę niespotykanych w Polsce butów. Od tej chwili spędzali ze sobą dużo czasu. I tak zostało. Żona jest największym przyjacielem autora, wielką podporą, służy radą w każdej sprawie. Wspaniała organizatorka życia zarówno w skromnych blokowych warunkach, jak i we własnym domu za Oceanem. Prawdziwa żona na dobre i złe.

Skarbem są też dzieci, Monika, Grzegorz i Justyna. Kazimierz Braun jest z nich dumny. Podczas pisania w 2014 roku pojawiają się prześliski pamięci. Grześ zakrywający oczy prowadzącej samochód mamie, wycieczka w góry z Moniką. Rodzina była siłą napędową. To dla niej po utracie pracy w Polsce reżyser podjął jedną z ważniejszych decyzji w swoim życiu – decyzję o emigracji.

Autor dużo czasu poświęca pracy zawodowej. Z ciekawością można zagłębić się w dziesiątki realizacji teatralnych i poznawać dzieje powojennego teatru polskiego. Można przejść przez sceny teatrów w Gdańsku, Toruniu, Lublinie, Wrocławiu. Czysto teatralne i reżyserskie wspomnienia nałożone są na sieć układów ludzkich, zdeterminowanych przez ustrój i stosunek komunistycznych władz do roli, jaką pełni teatr. Punktem zwrotnym, który zmienił dalsze życie rodziny Braunów, był spektakl wystawiony przez Kazimierza Brauna w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. „Dżuma” Alberta Camusa była aluzją do stanu wojennego w Polsce.

Kazimierz Braun opisuje koncepcje spektaklu:

„Jak rozszerza się zaraza? Poprzez jedzenie. Kto podaje ludziom jedzenie? Kelnerzy. Gdzie podają kelnerzy zatrute jedzenie? A, w jakiejś obskurnej, brudnej knajpie. (...) Więc

cztery szczury to są czterej kelnerzy, są władzą w tej knajpie, podają jedzenie, ale takie, jakie sami zechcą, wskazują-nakazują, gdzie kto ma usiąść, sami posilają się, zabierając jedzenie gościom. Narzucają swoją wolę, wydają zarządzenia. Wszyscy inni muszą im być posłuszni. Tak. (...) Taka jak szczury jest też władza w komunistycznej, wojennej Polsce: ta władza jest zapyziała, bezczelna, zainteresowana tylko w obronie swoich interesów, w napasieniu siebie, a nie w służeniu narodowi. Więc szczury – władza w knajpie, to metafora władzy w kraju. (s. 368).

Autor pisze dalej:

„Zaczęliśmy. Przedstawienie potoczyło się gładko. A po zakończeniu nikt nie klaskał. Ludzie podnieśli się z krzeseł i stali w ciszy. Tak! Było to absolutnie niecodzienne. Cisza. Ludzie zrozumieli, jaka jest sytuacja, więc jak mogli, chronili spektakl”. (s. 370).

Kazimierz Braun przestał być dyrektorem Teatru Współczesnego. Nie przedłużono też z nim kontraktu na Uniwersytecie. Nie otrzymał profesury. Został w punkcie bez wyjścia. Ale miał przecież pięcioosobową rodzinę na utrzymaniu. Stąd niezwykle trudna decyzja o wyjeździe z kraju, z kraju o który walczyli jego

przodkowie, kraju, którego kultura i tradycja była przez całe życie obecna w pracy teatralnej.

„Po co wyjechałem do Ameryki? Aby pracować i mówić pełnym głosem, a także, aby uwolnić się od stałej, nieznosnej presji i kontroli ze strony komunistycznych władz. Coś takiego było we mnie, sprzeciw, bunt, chęć odegrania się. Nie pozwalacie mi tu pracować, to ja wam pokażę, że będę nadal pracował, jednak gdzie indziej”. (s. 411).

Ameryka przyniosła dużo nowych projektów, wspaniałych realizacji, także polskich sztuk (Różewicz, Witkacy), stałą pracę na Uniwersytecie w Buffalo, pierwszy własny, zbudowany od początku dom. Wszystko zdobyte samemu. Sukces został zauważony przez środowiska teatralne i akademickie. Jednak amerykańska publiczność znacznie różni się od publiczności europejskiej. O różnicach w kulturze teatralnej obu kontynentów Kazimierz Braun pisze w monodramie „Helena. Rzecz o Modrzejewskiej”. Henryk Sienkiewicz mówi do Heleny Modrzejewskiej:

„Dla kogo tu będziesz grać? Tu nie ma publiczności. Ani krytyki. Tu nie ma teatru w europejskim pojęciu. Teatr w Europie należy do kultury miejskiej. A tu nie ma miast. Są

tylko rozrzucone osady. Bez tradycji. Bez korzeni. Ludziska zjadą się konno i bryczkami na twój występ jak na rodeo. Po spektaklu popiją w barach przy teatrze i rozjadą się. Krytycy potraktują cię jak zapaśnika, jak połykacza ognia, jak szansonistkę z podkasanej rewii. Napiszą, że byłaś świetna. A najchętniej zajrzą ci do garnka, pod kołdrę i pod spódnice. To ich naprawdę ciekawi. No i twoje konto, ile bierzesz za występ. Ile dolarów jesteś warta na rynku, jak koń. Jak akcja kopalni złota. Opiszą szczegółowo, jak mówisz, jak stąpasz. Jakie masz pęciny. I co z tego. Ty należysz do starej europejskiej tradycji. Ty masz rasę. Amerykanie to barbarzyńcy”. (s. 448)

Wspomnienia Kazimierza Brauna pisane są, jak na naukowca przystało, z dużą dbałością o fakty, o dokładność w opisie poszczególnych członków rodziny, przyjaciół, ludzi którzy odegrali ważną rolę w życiu, o poszczególne wydarzenia. Jednocześnie jest to niezwykle szczerą i pełną emocji opowieść o życiu. Pisanie z perspektywy czasu, kiedy zna się już odpowiedzi na pytania, pojawiające się przy podejmowaniu życiowych decyzji, jest nasycone refleksjami.

Wspomnienia te mogą być szkołą życia dla każdego. Książka jest pełna uniwersalnych przesłań. Widzimy jak bardzo ważne w życiu człowieka są wartości, kultura, tradycja, religia. Warto o

nie walczyć, nawet gdy trzeba za to zapłacić wysoką cenę.

„Pozostałem na emigracji. Jestem określany jako emigrant. W sercu nigdy emigrantem nie zostałem....”. (s. 475).

Kazimierz Braun, Pamięć. Wspomnienia, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s.499.

Łódzki Teatr Piosenki



Koncert Łódzkiego Teatru Piosenki, Pałac Poznańskiego, fot.
harmonyart.eu

Łódzki Teatr Piosenki powstał w 2012 r. w Łodzi z inicjatywy wokalisty i aktora Michała Maj Wieczorka. Działalność teatru zainaugurował spektakl „Z marzeń i snów” będący muzyczną opowieścią o Łodzi – mieście narodzin Teatru. W skład zespołu teatru wchodzi uzdolnieni absolwenci Akademii Muzycznej w Łodzi oraz Wydziału Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach m.in.: Emilia Kudra, Paulina Makulska, Marta Gabryelczak, Monika Kamieńska (wokalistki), Michał Makulski (aranżer muz., kompozytor, pianista), Michał Nowak (kontrabasista), Tomasz

Stachurski (perkusista) oraz Michał Maj Wieczorek (wokalista). Teatr nie ma stałej siedziby, jest teatrem objazdowym wystawiającym swoje spektakle m.in.: Akademickim Ośrodku Inicjatyw Artystycznych w Łodzi, w Pałacu Poznańskiego w Łodzi, Łódzkim Domu Kultury oraz Mazowieckim Centrum Kultury i Sztuki w Warszawie. Główny profil teatru stanowią tematyczne widowiska muzyczne o charakterze edukacyjnym. Poboczny nurt teatru stanowią farsy muzyczne. Misją teatru jest edukacja oraz rozwijanie wrażliwości młodych ludzi poprzez wartościową muzykę.

Nagrody Złoty Liść Retro 2013 za spektakl „Przeminęło z Foggiem”.



Koncert Łódzkiego Teatru Piosenki, Pałac Poznańskiego, fot.
harmonyart.eu

Z Michałem Maj Wieczorkiem, twórcą Łódzkiego Teatru Piosenki
rozmawia Monika Kamieńska.



Michał Maj
Wieczorek, fot.
Katarzyna
Skowronek

Monika Kamieńska: *Michale, skąd pomysł na stworzenie Łódzkiego Teatru Piosenki? Co Cię do tego zainspirowało?*

Michał Wieczorek: Myślę, że powstanie zespołu było wynikiem moich wcześniejszych działań muzycznych, kiedy po ukończeniu Akademii Muzycznej w 2010 roku zdecydowałem się stworzyć widowisko muzyczno -filmowe, poświęcone historii piosenki w polskim filmie, „Muzyczne noce i dni polskiego filmu”. Premiera odbyła się w Łodzi. Wtedy to spotkałem na swojej drodze wspaniałych muzyków: Michała Machulskiego, Tomka

Stachurskiego, Rafała Rytgiera. Zaczęliśmy tworzyć kolejne programy we współpracy z Akademickim Ośrodkiem Inicjatyw Artystycznych w Łodzi. Zaczęliśmy od cyklu koncertów zatytułowanych: „Muzyczne wspomnienie o...” poświęconych wybitnym polskim artystom takim jak Agnieszka Osiecka, Mieczysław Fogg, Anna German, Marek Grechuta, Maria Koterbska i inni. Pojawiła się także postać Bułata Okudźawy, którego twórczość jest mi szczególnie bliska.

MK: *Co decyduje o wyborze konkretnego artysty, którego życie i twórczość stają się osią programu?*

MW: Wynika to z moich sympatii muzycznych, ważna jest wartość muzyczna i literacka utworów. Postaci, które wybieram muszą mi być bliskie wewnętrznie.

MK: *No tak, bo przecież spektakle ŁTP mają formę muzycznej opowieści, która prowadzi widownię przez życie bohaterów. Rolę narratora, opowiadacza zawsze pełnisz Ty. Moim zdaniem, nie wiem, czy się z tym, zgodzisz, spektakle mają charakter nie tylko muzyczny ale i edukacyjny.*

MW: Tak, to jest chyba ich największy urok. Kiedy piszę scenariusze staram się te postaci „przefiltrować” przez moją osobowość. Mam takie wrażenie, że część ich osobowości tkwi we mnie. To tak, jakbym w ich twórczości odnajdywał część siebie.

siebie. Np. bardzo jest mi bliska twórczość Agnieszki Osieckiej czy Bułata Okudźawy.



MK: Można powiedzieć, że realizujesz swoje pasje, które mają także swoje miejsce w ukończonej przez Ciebie niedawno, czekającej na premierę książce: „W melodii tej siła zaklęta”? Bo chyba polska piosenka jest ci szczególnie bliska?

MW: Tak, ale nie unikam także zagranicznych artystów. Mamy w repertuarze piosenki Franka Sinatry, przeboje gwiazd francuskich i włoskie hity wszechczasów. Realizujemy także cykl koncertów pod hasłem: „Muzyczne podróże”.

MK: Kiedy powstawały pierwsze programy muzyczne przeplatane opowieściami o życiu bohaterów, nasycone anegdotami ciekawostkami, nie sądziłeś chyba, jak wielką będą się cieszyć popularnością i że zyskają tak dużą liczbę wiernej publiczności?

MW: Można powiedzieć, że takich programów, jakie proponuje Łódzki Teatr Piosenki, nie ma na rynku. Jesteśmy naprawdę

unikatowi.

MK: *Jaka jest według ciebie tajemnica sukcesu twojego zespołu, bo bilety na spektakle sprzedają się bardzo szybko.*

MW: Wydaje mi się, że to zasługa wielkiego serca, które wkładamy w przygotowanie wszystkich programów, my tym żyjemy w 100% i publiczność to czuje. To jest prawda, która tkwi we mnie i w naszych artystach, a publiczność to czuje.

MK: *Myślę, że jest to także zasługa zespołu, który dobrałeś według bardzo określonego klucza.*

MW: Muzycy i wokaliści, którzy tworzą Łódzki Teatr Piosenki są wyjątkowi. To zdolni, ciepłi, weseli, dobrzy i pozytywni ludzie lubiący innych ludzi. Jesteśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, a publiczność tę energię odbiera i „kupuje”.

MK: *Czy nie sądzisz, że ta „oldskulowa” forma spektakli jest dzisiaj czymś wyjątkowym?*



Spektakl
Łódzkiego Teatru
Piosenki

MW: Tak, nie ulegamy modzie, staramy się, by nasza publiczność czuła się wyjątkowo. By mogła przez te kilkadziesiąt minut przenieść się do innego, piękniejszego, wypełnionego muzyką świata. Bazujemy na wartościowych materiałach z przeszłości. Stają się one dzięki nam nieśmiertelne i wyjątkowe. Tak jak piosenki Marii Koterbskiej, Mieczysława Fogga czy Hanki Ordonówny. Staramy się zachować pamięć o tych wyjątkowych osobach.

MK: *Pojawia się na tych spektaklach także młoda publiczność, ale główna grupa odbiorców to jednak seniorzy?*

MW: Tak, to nasi główni odbiorcy, wierna widownia, z którą nawiązujemy w trakcie spektaklu indywidualny kontakt, rodzaj porozumienia i współuczestniczenia, a także współtworzenia, bo wielu widzów śpiewa razem z nami. To sprawia, że nasze relacje pozostają silne na długo po zakończeniu widowiska.

MK: *Zawsze podkreślałeś, że tworzysz pewną wartość przeznaczoną dla wrażliwych odbiorców, czy myślisz, że taka wizja się sprawdza?*

MW: Tak, nie możemy dotrzeć do wszystkich, ale mamy swoich wiernych widzów i to nas cieszy.

MK: *W swoim repertuarze macie także patriotyczny program.*

MW: Tak, to „Radość listopadowej nocy”, bardzo piękny historyczno – patriotyczny spektakl.

MK: *Największe marzenie Michała Wieczorka?*

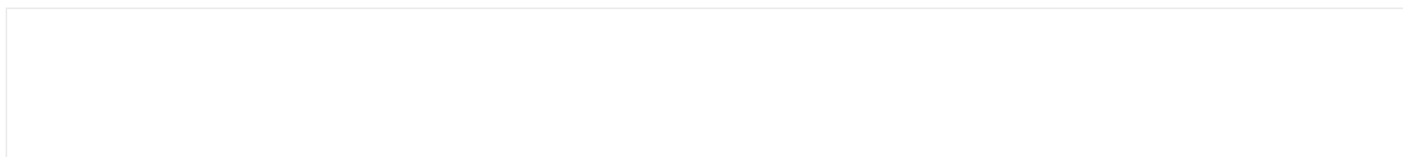
MW: Chciałbym, żeby nasze programy docierały do jak największej liczby osób, żeby zapraszano nas do różnych miast w Polsce, żebyśmy byli rozpoznawalni nie tylko w województwie łódzkim. Byliśmy co prawda w Olsztynie, Radomsku i w Warszawie, ale to jeszcze nie to, o czym marzę. Chciałbym także móc sprawić radość Polakom mieszkającym za granicą i

przywieźć im trochę polskiej pięknej muzyki.

MK: *Teatr ma cztery lata – czego możemy życzyć na kolejne lata działalności?*

MW: No cóż, zapału, pomysłów, możliwości nagrania płyty, o którą prosi publiczność. Chciałbym także zrealizować programy z piosenkami niemieckimi, hiszpańskimi, czeskimi, austriackimi, rosyjskimi. Marzeniem moim jest zrealizowanie festiwalu piosenki europejskiej i zaprezentowanie wszystkich naszych programów.

MK: *No cóż, życzę ci zatem spełnienia marzeń.*



Spektakle Łódzkiego Teatru Piosenki







Monika Kamieńska w spektaklu Łódzkiego Teatru Piosenki, fot.
harmonyart.eu